Nr. 50. Warszawa, dnia 28 Listopada (10 Grudnia) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Każdy przeżyty i przepracowany rok zmniejsza naszemu pismu obowiązek i potrzebę tłomaczenia czytelnikom, czem ono jest, a nawet — czem być pragnie. A jakkolwiek jest i pragnie być niezależnym, krytycznym, postępowym organem ludzi ukształconych, których żadne społeczeństwo, a więc i nasze nie posiada w wielkiej liczbie, mimo to mniemamy, że PRAWDA nietylko w kole swych abonentów, ale daleko po za niem wyrobiła sobie już poważne i dokładnie pojmowane imię. To też zapraszając do prenumeraty na rok następny wszystkich jej przyjaciół i zwolenników, między którymi jest znaczny zastęp towarzyszących nam niezmiennie przez 18 lat, nie częstujemy ich mdłą i szumną frazeologią, lecz według naszego zwyczaju, zawiadomiamy ich, że w roku następnym iść będziemy również dawną drogą z dawnym sztandarem, który chociaż podarł się w walce, nigdy nie wypadł z rąk naszych, ani się nie zniesławił i pozostał czcigodnym.

Ażeby uprzystępnić nowym abonentom nabycie naszych wydawnictw i dodatków, zniżamy ich cenę o połowę dla wszystkich, którzy zaprenumerują PRAWDĘ bezpośrednio w naszej Administracyi. Mianowicie:

J. Brandes: *Główne prądy literatury europejskiej XIX w.* 4 tomy rb. 3 (zamiast 6).

L. Liard: *Logika* k. 50 (zam. rb. 1).

A. Espinas. *Społeczeństwa zwierzęce* rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).

L. Morgan: *Społeczeństwo pierwotne* rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).

Huxley—Rosenthal: *Zasady fizyologii* rb. 1 (zamiast rb. 2).

J. Barni: *Męczennicy myśli* k. 50 (zamiast rb. 1).

N. Hirszband: *Byron w urywkach* k. 25 (zamiast k. 50).

K. Lewald: *Historya XIX w.* rb. 1 k. 60 (zamiast rb. 3 k. 30).

L. Wolberg: *Psychologia dziecka* rb. 1 (zamiast rb. 2).

Ekonomia polityczna rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).

H. Posnet: *Literatura porównawcza* rb. 1 (zamiast rb. 2).

R. Falkenberg: *Historya filozofii najnowszej* rb. 1 k. 20 (zamiast rb. 2 k. 40).

J. Dallemagne: *Człowiek zwyrodniały* rb. 1 (zamiast rb. 2).

M. Mignet: *Historya Rewolucyi francuskiej* rb. 1 (zamiast rb. 2).

Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana) kop. 75 (zamiast rb. 1 kop. 50).

Nowoprzybyli abonenci *Prawdy* mogą nabyć początkowe arkusze dzieła, drukowanego w dodatku, *Syberya i ciężkie roboty* Maksimowa, za 50 kop., bez przesyłki.

Na przesyłkę pocztową dołączyć trzeba kop. 15 do każdego rubla. Ceny te obowiązują nas tylko do 1 lutego roku przyszłego.

POLITYKA.

WSTRZEMIĘŹLIWOŚĆ WILKA.

Bezczelność, z jaką Schönerer przed miesiącem, korzystając z ciemięztwa austryackiego, wyciągnął serce i rękę ku Berlinowi, nie mogła nie wprawić politycznej myśli niemieckiej w granicach i po za granicami Austryi w wir tej samej dążności, którą dyszała jawna, dotychczas słowy dopiero spełniana, zdrada. Dzienniki zachowawcze, w patryotyzmie niemieckim rozszalałe, nie śmiały wprawdzie podjąć tezy, rzuconej przez zdrajcę w wiedeńskiej Izbie deputowanych, ale przy jawnem współczuciu z cierpiącymi braćmi nie zawahały się postawić przyszłej możliwości jako faktu upragnionego przez wszystkich o zwiększeniu wielkiej już ojczyzny myślących. Ponieważ wessanie żywiołu niemieckiego w Austryi przez tę ojczyznę nie mogłoby się dokonać w przymierzu z nią i musiałoby być poprzedzone zerwaniem, przeto w zachowawczym odłamie opinii politycznej niemieckiej, w ścisłym związku z poglądami na zdradę Schönerera, zjawiło się oczekiwanie, nawet nadzieja, że po upływie obowiązującej obecnie umowy dyplomatycznej cesarstwo niemieckie już jej więcej nie odnowi, a potrzebując przymierzy, rozejrzy się tylko po Europie, poszuka i znajdzie równoważnik potęgi austryackiej w innej stronie, w innem mocarstwie. Równoważnika tego nie wymieniono; ale jeśliby nim nie miała być, w myśl chamberlenowskiej wskazówki, Anglia, mogłaby być tylko Rosya. Włochy, oczywiście, nie przestałyby być

sprzymierzeńcem i nadal— sprzymierzeńcem dla samego wessania braci południowych potrzebnym, jak się to już raz z tak świetnym skutkiem okazało w r. 1866.

Właśnie z tego r. 1866 i ze stosunku ówczesnego do Austryi wychodzące obecnie pamiętniki Bismarcka przyniosły podczas tego wirowania myśli niemieckiej około ideału doskonałego zjednoczenia Niemców — fakt, a zarazem moment logiczny, wielce zajmujący i ważny. Przed preliminaryami w Nikolsburgu, kiedy jedni Niemcy szli na Wiedeń, a drudzy, w Wiedniu, drżeli przed nimi, zaklinając wojsko, rząd i cesarza, aby nie myślano o bronieniu stolicy — król Wilhelm pragnął raz na zawsze skończyć z Austryą i kazał Bismarckowi zażądać Czech, Morawii i Austryi Niższej z Wiedniem. Bismarck wszakże oparł się takim zamysłom, znalazł pomoc w księciu następcy tronu, i ostatecznie we dwóch wybili z głowy królewskiej zamiar, powzięty raczej w żołnierskiem poczuciu zwycięztwa i siły, niż w patryotycznem pragnieniu zespolenia wszystkich Niemców w jedno niemieckie państwo. Pobudki tego sprzeciwienia się zaborczości Wilhelma V tkwiły: w trudności rządzenia Niemcami austryackimi z Berlina; w międzynarodowej pożyteczności rozłamu potęgi ogarniającej terytorya Austryi i Niemiec, na dwie odrębne całości i wreszcie w tem, coby nadmiarem siły i szczęścia nazwać można: lękał się Bismarck wziąć za wiele, mieć przeszkód w wewnętrznym rozwoju więcej, niż możności do ich przeparcia czy przełamania, gdyby powolnie ustępować nie chciały. Państwo, które wzięło sobie do strawienia Hanower, Szlezwig, Holsztyn, Kasel, Nassau i Frankfurt, które potrzebowało zabliźnić bratobójcze rany, zadane Bawaryi i Saksonii, które miało gorejącą ścianę od Francyi a musiało oglądać się za Rosyą, państwo wewnątrz rozdzierane przez postępowców, nie umiałoby sobie nawet poradzić z nowoprzyłączonemi prowincyami ze względu na władzę bezpośrednią, jakąby trzeba było w nich ustanowić; a panujący jeszcze wówczas silny temperament polityczny państw Niemców austryackich trudności te potęgował.

Ta wstrzemięźliwość Bismarckowska znajduje odpowiednik swój w hamowaniu pierwszych popędów po zwycięztwach nad Francyą. Alzacyę wprawdzie chciał zabrać i z góry sobie za cel zabór jej wytknął, ale do zabrania Metzu i części Lotaryngii francuskiej skłoniły go tylko przekonywające dowodzenia Moltkego: Alzacyi potrzebował patryotyzm niemiecki, Lotaryngii potrzebowała przyszła strategia. Ale w jednym jak w drugim wypadku wstrzemięźliwość nie byłaby cnotą trwałą. Można jej było przez całe lat dwadzieścia wiary dochowywać: względem Austryi kiedyś przyjść by musiał czas na apetyt. Już ta reasekuracya, którą wykryto w r. 1896, wskazała istotny kierunek rządu bismarkowskiego, a zapominać nie wolno, z jaką brutalną szczerością pierwszy minister króla pruskiego zaraz po wyprowadzeniu wojsk z Austryi radził zwyciężonemu mocarstwu przenieść swój środek ciężkości z Wiednia do Pesztu; jak potem, kiedy już miał z nią przymierze, po r. 1879, publicznie w parlamencie nazywał ją sprzymierzeńcem, na którym nie zupełnie polegać można, nie co do uczciwości, ale co do potęgi i w potędze należytej sprawności. Z Rosyą pospołu myślał Bismarck kiedyś rozwiązać ostatecznie sprawę zjednoczenia Niemców, od rozbioru Austryi nieodłączną; bez Rosyi też nigdyby rozwiązać jej nie mógł. To samo, że Rosya w r. 1866 nie zastąpiła mu drogi, było już wielkiem dla niego szczęściem, a mogła mu zastąpić, choćby dla wzięcia odwetu za odrzucenie propozycyi, uczynionej w lipcu 1864 r., aby wspólnie rzucić się na Francyę. Odosobnienie, w jakiem znalazła się Francya w r. 1870, nie byłoby możebnem przy nowem porwaniu się na Austryę. Był tedy przez 20 lat swego kanclerzowania wstrzemięźliwym sternik nawy państwowej Niemiec — choćby tylko z samej tej konieczności, która mu nakazywała trzymaniem się Austryi przeciwważać geograficzne niejako przymierze Francyi z Rosyą; ale wyrwanie Niemców austryackich z objęć Austryi— nigdy nie przestało być ostateczną jego dążnością. Tę dążność on w testamencie swoim Niemcom przekazał. Wilk był wilkiem i miał wilczy apetyt, ale go roztropnością powściągał.

Tydzień polityczny. W Austro-Węgrzech zanosi się na dymisyę prezesów obu gabinetów: Banffy'ego opozycya chce gwałtownie się pozbyć, aby potem poprowadzić walkę dalej już z samym królem o odłączenie się ekonomiczno-państwowe od Przedlitawii; Thun ma paść razem z Banffym. W Wiedniu po jubileuszu było tylko jedno posiedzenie we wtorek, w piątek miało się odbyć następne; dzięki temu cicho. Skrajni *germaniści* uchylili się od obchodu jubileuszowego.

Cesarz Wilhelm zagaił d. 6 b. m. sejm niemiecki. Stosunki ze wszystkimi dobre. Projekty zmian w ubezpieczeniu robotników, nowego polepszenia im bytu, różnych nowości ekonomicznych, wreszcie wzmocnienia zbrojności narodowej itd. Wspomniał cesarz i o Palestynie.

We Francyi na porządku dziennym Picquart. W dziennikach szerzy się wiadomość o wspólce Henry - Esterhazy: pierwszy dostarczał wiadomości ze sztabu, drugi je sprzedawał; ceną się dzielili. Stosunek bardzo prawdopodobny; dwóch szubrawców innego nawet mieć nie mogło: musieli kogoś obdzierać. Esterhazy zniknął. Wydanie go przecież powinno być obowiązkiem. Tylko czy Francya wydania zażąda?

O pracach konferencyi przeciw anarchistom nic nie wiadomo.

Pokój między Hiszpanią a Stanami Zjedn. ma być w przyszłym tygodniu podpisany.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PIERWSZY KROK.

Przed paru tygodniami nadeszła wiadomość z Petersburga, iż wskutek przedstawienia kuratora Instytutu oftalmicznego w Warszawie, ministeryum spraw wewnętrznych zgodziło się na otworzenie w Królestwie Polskiem oddziałów ruchomych okulistycznych sposobem próby na trzy lata. Postanowienie to z wielu względów ma doniosłe znaczenie. Przedewszystkiem świadczy ono, że nareszcie zwrócono uwagę na tę ważną sprawę dotyczącą mas ludności, a dotychczas prawie zupełnie pomijaną.

Wzór specyalnej pomocy lekarskiej w powyższej formie niewątpliwie wzięto poniekąd z istniejącej już w Cesarstwie podobnej instytucyi. Przepisy już zatwierdzone nakreślają następującą organizacyę i zadania oddziałów ruchomych: Przy Instytucie oftalmicznym powstaje komitet z pięciu członków, mianowanych na trzy lata, celem wysyłania oddziałów wędrownych, które są czynne od maja do października (*tylko!*) Obowiązkiem kierownika oddziału jest obeznanie się z daną miejscowością tudzież charakterem rozpowszechnionych tam chorób ocznych, udzielanie pomocy lekarskiej i chirurgicznej ubogim chorym, a w razie potrzeby, wysyłanie ciężko cierpiących do Instytutu w Warszawie. Nadto prowadzenie listy wszystkich ubogich chorych. Koszty utrzymania oddziałów wędrownych pokrywane będą z opłaty, pobieranej od chorych, przychodzących do ambulatoryum po poradę. Za ubogich chorych płacić będą zarządy miejskie lub gminne. Pierwsze wydatki na zorganizowanie oddziałów wędrownych Instytut pokrywa z ofiar dobrowolnych, albo z własnych funduszów, w charakterze zaliczki tymczasowej do 3,000 rb. rocznie, którą następnie odbiera sobie z wpływów osiągniętych. Wynagrodzenie dla lekarzy, na przedstawienie komitetu zatwierdza generał-gubernator warszawski. Wysokość opłaty za poradę ustanawia komitet po porozumieniu z gubernatorami tych gubernij, w których oddziały będą czynne. W pierwszym roku powstaną tylko dwa oddziały.

Czy ta organizacya będzie racyonalną i skuteczną? Wszystkim, nawet niespecyalistom wiadomo, że choroby oczu są rozmaite i najczęściej bardzo uporczywe, wymagające niejednokrotnej porady i stałej kuracyi. Tymczasem „oddziały ruchome" to coś w rodzaju różnych instruktorów rzemieślniczych i przemysłowych. Gdy przyjedzie do wsi taki wysłany specyalista ogrodnik lub pszczelarz i gdy zebrawszy gospodarzy da im wskazówki, jak się szczepi, oczkuje drzewa, jak się je sadzi i pielęgnuje, lub jak się utrzymuje ule, jak się obchodzi z pszczołami i jakie rośliny najbardziej miododajne mogą pomyślnie się rozwijać w pewnej okolicy — to rozumiemy, że ci gospodarze, jeżeli są choć trochę rozgarnięci, wyniosą wiele korzyści z takich wskazówek i racyonalnie rozwiną daną gałąź gospodarstwa. Ale jeżeli do pewnej wsi lub osady przyjedzie okulista, choćby najzdolniejszy i przywiezie z sobą najlepsze instrumenty do badania oka — nie uzdrowi on, a nawet nie „podleczy" chorych na przewlekłe cierpienia.

Kiedy w przejeździe z Paryża przez Warszawę zatrzymał się u nas na kilka dni znakomity okulista Gałęzowski, ciągnęły do niego nieprzejrzane i niezliczone tłumy, nietylko z Warszawy, lecz i dalekich okolic kraju. Każdy dobijał się do gabinetu cudotwórcy, z wiarą, że za jednem spojrzeniem uzdrowi on nawet ślepca. Znaczna jednak większość wyszła roz-

goryczona i zawiedzona. Gałęzowski, pomimo swej wyjątkowej sławy europejskiej, nie uzdrowił nawet tych, których mógłby uzdrowić zwyczajny, nierozgłośny okulista, poddając chorego systematycznej i stałej kuracyi. Wyobrażamy sobie, że coś podobnego, tylko w znacznie słabszym stopniu, będzie w miejscach chwilowego pobytu oddziałów ruchomych. Iluż to trzeba byłoby powołać specyalistów do owej organizacyi, ażeby oni mogli przynajmniej raz na miesiąc odwiedzić każdą miejscowość kraju, każde miasteczko, wieś, osadę, kolonię fabryczną! A czy taka wizyta *raz na miesiąc*, będzie całkowicie skuteczna dla chorych? Otóż zdaje się, iż oddziały te, po trzyletniej pracy—jałowej na polu właściwem, przyniosą ten pożytek, że dokładnie określą stan zdrowia ludności i, jeżeli zechcą, będą mogły zbadać gruntownie przyczyny chorób. Dopiero taki materyał da możność i zarazem bodźce do istotnego i właściwszego przeciwdziałania klęsce, która dziś doszła do poważnych rozmiarów.

Pewnych i ściśle określonych danych nie mamy. Przybliżone jednak, ogólne wyliczenia stwierdzają istnienie w Królestwie Polskiem 40 tysięcy ślepców na dziesięć milionów ludności. Procent olbrzymi i przerażający. Dodajmy do tego jeszcze przynajmniej trzy razy tyle ciężko chorych na cierpienia przewlekłe, które chociaż nie pozbawiają wzroku, lecz odbierają możność pracy — a otrzymamy cyfrę 160 tysięcy ludzi, których zaliczyć można do kategoryi kalek, obarczających społeczeństwo nadmiernym ciężarem. Sto sześćdziesiąt tysięcy ludzi, niezdolnych do pracy produkcyjnej, to w budżecie ekonomicznym straty milionowe. A przecież znaczna, jeżeli nie przeważająca liczba tych ludzi mogłaby wzrok zachować przy wcześnie przedsięwziętych środkach zaradczych i zastosowaniu warunków hygienicznych.

Przeciwdziałanie tej klęsce jest zadaniem olbrzymiem i niezmiernie doniosłem, którego jednakże nie można zamknąć w ramkach „oddziałów ruchomych.“ Przedewszystkiem zwróćmy uwagę na źródło powstawania chorób ocznych. Rozwój wielkiej produkcyi i jej gorączka, uciążliwe warunki pracy wyczerpującej w najróżnorodniejszych dziedzinach, sprowadzają między innemi tak liczny, niemal masowy rozstrój oczu. Wszędzie na wszystkich polach widzimy przeciążenie i nienormalne, niezgodne z wymaganiami hygieny, warunki pracy. Podstawą rozwoju i bytu wielu zakładów przemysłowych jest ciągłość czuwania. Praca nocna bodaj dziś ma większe znaczenie, niż dzienna. Nadto tysiące ludzi pracują w dzień przy świetle sztucznem w różnych lokalach ciemnych. (Między innemi widzimy to i na poczcie warszawskiej). Większość lokalów szkolnych w naszych miastach i miasteczkach pod względem hygieny wzroku nie odpowiada najskromniejszym wymaganiom. Powstawanie, rozwój, wzrost coraz nowych instytucyj z zawiłym i rozciągliwym systemem pisaniny nieustannej, korespondencyi zbytecznej, zwiększa szeregi pracowników biurowych, umieszczonych również w ciemnych lokalach, lub przy świetle sztucznem. Różne rodzaje pracy wytwórczej śród dymu, kurzu, powietrza zepsutego, wyziewów gryzących, także rujnują wzrok. Wreszcie obok tego, złe warunki hygieniczne w domu, liche odżywianie — to także przyczyna chorób oczu.

Wyobraźmy sobie teraz, że w takich warunkach, ani na odrobinę niezmienionych, przeciwdziałają złemu wędrowni okuliści. Zgromadziwszy dorywczo sporą liczbę pacyentów, zalecą im pracę umiarkowaną lub wypoczynek, dobre odżywianie się i dużo powietrza świeżego. Ludzie ci przyjmą receptę i przepisy, a nazajutrz lub tegoż dnia będą musieli pracować godzin kilkanaście w dymie, kurzu, wyziewach gryzących, a potem wrócą do domu, po to, ażeby w powietrzu spartem wytchnąć parę godzin, posilić się kartoflami lub kapuśniakiem. Po miesiącu oddział ruchomy, odwiedzi swoich pacyentów i znajdzie śród nich sporą liczbę ze stanem wzroku znacznie pogorszonym.

Cóż warte takie przeciwdziałanie? Wielkie przedsiębiorstwa posługują się wprawdzie okulistami, dbają o wzrok pracowników, ale jak? Koleje żelazne przed paru miesiącami wprowadziły następujący rygor: Wszyscy urzędnicy i oficyaliści, zwłaszcza w „służbie ruchu,“ muszą swój wzrok poddać rewizyi lekarskiej. Na podstawie jej orzeczenia chorzy będą usunięci ze służby! Szkoda, że przedtem nie będzie poddana rewizyi machinerya pracy kolejowej po to, ażeby usunąć przyczyny chorób ocznych. Brutalność przedsiębiorców nie uwzględnia tego. Ma ona na zawołanie zawsze świeże siły, np. maszynistów. Ci w każdej chwili gotowi są zająć miejsce dawnych, którzy po kilkoletniej nieustannej pracy stracili sprawność wzroku i zdolność bacznego czuwania.

Jak widzimy tedy, stan wzroku licznych rzesz pracujących jest poważną i wielostronną sprawą społeczną, której nie mogą rozstrzygnąć „oddziały ruchome.“ Nie wszystko da się zmienić odrazu; ale można przeciwdziałać złemu w granicach znacznie szerszych, niż organizacya powyższa. Trzeba przedewszystkiem budować szpitale i lecznice w ogniskach pracy; trzeba położyć silny nacisk na hygienę tej pracy, a to przecież, o ile się nie mylimy, powinno być zadaniem młodej u nas instytucyi, Towarzystwa hygienicznego.

W Cesarstwie, jakeśmy nadmienili, istnieje instytucya pod nazwą „Opieki Cesarzowej Maryi Aleksandrówny nad ociemniałymi,“ która ma dość szeroki program. Wysyłanie oddziałów wędrownych zajmuje podrzędniejsze miejsce; na pierwszym zaś planie stoi otwieranie szpitalów i lecznic oftalmicznych, oraz zapobieganie szerzeniu się chorób ocznych. Dotychczas jednak tych najważniejszych zadań nie zdołano należycie rozwinąć. Co zaś do okulistów wędrownych, okazało się, że pracowali oni rzetelnie i nawet nadmiernie; ale, niestety, niema widocznych rezultatów ich pracy, gdyż była ona doraźna tam, gdzie musi być stałą.

Budujmy tedy przedewszystkiem szpitale i lecznice oczne, zmuszajmy przedsiębiorców do utrzymywania stałych okulistów i do wprowadzania w warunkach pracy takich zmian tudzież środków, któreby miały na względzie hygienę wzroku. To będzie droga właściwsza i skuteczniejsza, niż uruchomienie okulistów. Niech się do tej sprawy weźmie niezwłocznie Towarzystwo hygieniczne przy pomocy Towarzystw lekarskich.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Wydalania i przeciwnicy jego śród Niemców. — Nowa postać kolonizacyi. — Czem jest patryotyzm niemiecki. — Nauczyciele ludowi na usługach hakatyzmu. — Prześladowanie narodowości i religii za pośrednictwem szkół. — Proces prasowy.

Wydalanie obcych poddanych jest obecnie przedmiotem uwagi powszechnej i podniecenia opinii publicznej. Oburzenie zaczyna nurtować nawet śród Niemców uczciwszych i posiadających uczucia ludzkie. Między innemi w opozycyi tej wybitne miejsce zajęło pismo Richtera *Freisinnige Ztg.*, które zaznacza to powszechne już dziś w świecie cywilizowanym przekonanie, że polityka wydalań, zastosowana w r. 1885 do robotników polskich, była fałszywą; że zarówno rolnicy, jak i fabrykanci, ze względu na brak robotnika, wysyłają ciągle do rządu podania o otworzenie robotnikom polskim wstępu do Prus. Nawet i w chwili obecnej, pomimo nowego ataku wścieklizny, wybuchu nienawiści rasowej, Towarzystwa rolnicze z Prus Wschodnich proszą, ażeby w tej dzielnicy pozwolono na stałe osiedlać się robotnikom z Królestwa Polskiego. Coraz większy brak rąk roboczych istotnie grozi poważną klęską, a nawet katastrofą ekonomiczną rolnikom pruskim. Polityka nienawiści nie uwzględnia jednak tego. Zresztą któż robi owę politykę nienawiści? Ci, co się starają w chaosie ogólnym zapuszczać ręce swoje do cudzych kieszeni, bez względu, czy ta kieszeń jest brata-Niemca, czy wroga-Polaka.

Pomyślmy, ilu pokurczów niemieckich, chwytających ostrymi zębami za chude łydki robotników polskich, utuczyło się kosztem tej naganki! Ilu „działaczów“ kolonizatorskich zrobiło majątki kosztem kraju! Ilu urzędników pruskich i przedsiębiorców, idących pod sztandarem hakatyzmu obżarło się i opiło nietylko krwią i potem ludności polskiej, lecz i wogóle mieszkańców państwa, szarpanego przez własne ogary!

Obecnie „patryoci“ umyślili urządzić nowe przedsiębiorstwo, które napędziłoby mu sporo grosza z kasy skarbowej i kieszeni ludności. Oto podają myśl kolonizowania Wielkopolski za pomocą... podrzutków niemieckich. Trudno już o pomysł bardziej cyniczny. Niemcy nie mogą sobie dać rady z podrzutkami, narzekają na ciężar utrzymywania przytułków w wielkich miastach fabrycznych. Podobno w sferach robotniczych każde trzecie dziecko jest nieślubne, a każde piąte nie zna swych rodziców. Jakaś filia związku katolickiego wygłosiła następującą skargę: „Jesteśmy przerażeni ogromem zepsucia, panującego we wszystkich fabrykach. Nie przysyłajcie nam porządnych dziewcząt, bo tutaj czeka je kałuża i śmierć moralna. W gospodarstwach chłopskich są jeszcze przynajmniej szanowane pozory, a nawet moralność podtrzymywana jako tako. Natomiast na folwarkach, w warsztatach, a najbardziej w fabrykach jawne cudzołóstwo dochodzi do niesłychanego cynizmu.“

Otóż wytwory tego cynizmu, bękarty, puszczone na oślep, dzięki znamiennym urządzeniom dzisiejszym, tworzą rzesze ludzi, którzy, jakby pchani żywiołowo siłą

bezwiednego odwetu i protestu za to, że się stały ofiarami tych urządzeń, tworzą dziś szeregi najbardziej zepsutych ludzi, gotowych na wszystko. Nie mają oni ani poczucia społecznego, ani ludzkiego. Wiedzą o tem różne „miłosierne“ organizacye niemieckie, więc za pośrednictwem swych „patryotów“ chcą tym żywiołem zalać dzielnice, zamieszkałe przez rasę znienawidzoną. Metoda nowej walki ma być taka: Na mocy umowy z gminami, hakatyści biorą w swą opiekę podrzutków, ochrzczonych na wiarę luterańską. Gminy więc będą wolne od obowiązku czuwania nad tą kategoryą dzieci, ale natomiast organizatorom nowej opieki mają płacić w takim stosunku, w jakim płacą chłopom za utrzymanie podrzutków, tj. po 200 marek rocznie za każdego. Następnie dzieci te będą oddawane w Wielkopolsce na wychowanie kolonistom i służbie niemieckiej na folwarkach za wynagrodzeniem 120 marek, a 80 mr. pójdzie do kasy. Według ustawy, gminy powinny utrzymywać podrzutków i sieroty do 15-go roku życia. Każdy wychowaniec hakatystów po 24 roku życia ma otrzymać te oszczędności, jeżeli zobowiąże się pozostać w dzielnicy, z góry dla siebie wyznaczonej. Z tego żywiołu ma powstać następnie tania siła robocza dla Niemców.

A teraz przyjrzyjmy się właściwemu, najważniejszemu celowi tego przedsiębiorstwa znamiennego. Jest to bardzo zręczny szwindel bandy spekulantów — „patryotów,“ którzy się chcą obłowić kosztem gmin i przez wiele lat bezkarnie prowadzić rabunek na drodze publicznej. Jak wiadomo, w okresie od 1 do 15 roku życia panuje największa śmiertelność. Następnie również śmierć zabiera wielki procent ludzi do 24 roku życia. Dodajmy do tego jeszcze warunki wyjątkowe, znany system opieki za stałem rocznem wynagrodzeniem, doprowadzający wychowańców do wycieńczenia i chorób, a będziemy mieli jeszcze większą wyjątkową śmiertelność śród podrzutków i sierot, jako sztucznego wytworu przyszłej kolonizacyi. Oszczędności tych zmarłych stworzą z czasem miliony, które się powiększą jeszcze za pomocą jednego warunku: wypłaty wrazie jeżeli wychowaniec osiądzie na stałe tam, gdzie mu kazano. Ponieważ z doświadczenia wiadomo, że przymus taki nigdy do celu nie doprowadzał, że zawsze znaczny procent ludzi ucieka i uciekało z miejsc przymusowej kolonizacyi w pogoni za lepszymi warunkami bytu, więc i tym razem setki, a może i tysiące wychowańców kolonizacyi wielkopolskiej rozsypią się po świecie. Tym sposobem owe miliony marek, zrabowanych gminom i społeczeństwom, pójdą do kieszeni organizatorów nowego systemu germanizacyi. To jest bodaj najwymowniejszy i najjaskrawszy z bieżącej doby obrazek „patryotyzmu“ niemieckiego.

Dobrymi i gorliwymi szeregowcami armii hakatystycznej okazali się obecnie nauczyciele ludowi w Poznańskiem, przybysze z Zachodnich dzielnic państwa. Przed paru tygodniami pod przewodnictwem inspektora Rudenicka odbyła się narada tych działaczów, którzy przyszli do następujących wniosków: 1) Dzieci pochodzenia niemieckiego należy utrzymywać w niemieckiej narodowości (całkiem słusznie!). 2) Dzieci pochodzenia polskiego — niemczyć. 3) Sami nauczyciele powinni nietylko wewnętrznie czuć się Niemcami, lecz i okazywać zewnętrznie na każdym kroku swą narodowość (i jej piękne cechy!). 4) Nauczyciel musi mówić z dziećmi tylko po niemiecku, czy to w klasie na lekcyi, czy podczas przerwy, czy też na ulicy. Nadto powinien on przestrzegać, ażeby uczniowie wszędzie mówili tylko po niemiecku. 5) Całej nauce należy dawać podstawę wyłącznie niemiecką i wzmacniać ją duchem niemieckim i t. d. Powyższe uchwały jarocińskie, regencya bydgoska zaleciła obecnie nauczycielom już jako obowiązek.

Skoro mowa o „oświacie,“ musimy kilka cyfr dorzucić o postępie szkolnictwa niemieckiego w Poznańskiem: W r. 1866/67 z 7 342 rekrutów z Księstwa 2,494 miało wykształcenie szkolne wyłącznie polskie, czyli 34%; cyfra ta pozostaje prawie bez zmiany do r. 1885, poczem do r. 1892 żołnierze z wykształceniem szkolnem, wyłącznie polskiem, stanowią 25% ogółu. W r. 1893 liczba ich spada nagle na 11,1%, w 1894 na 7,6%, w 1895 na 4,4%, w 1896 na 3,7%, a w 1897 na 1,9%; w tym roku było w całem Księstwie tylko 198 rekrutów, posiadających wyłącznie polskie wykształcenie szkolne. Z tych przypadało na okrąg Poznański 185=2,65%, na Bydgoski 13=0,41%. W okręgu Opolskim liczba ich wynosiła do r. 1882 44%, spadła wszakże do r. 1887 na 20%, w roku 1892 było ich 6,14%, a w r. 1897 0,18%.

Z cyfr tych wszakże nie można sądzić o postępach germanizacyi wogóle za pośrednictwem szkół. Moglibyśmy przytoczyć mnóstwo faktów, świadczących, że nauka w szkołach niemieckich nie germanizuje — dobrych Polaków, że przeciwnie — poczucie narodowości przechodzi przez ten ogień niemiecki czyste i hartowne. W swoich systemach „wychowawczych“ Niemcy popełniają jeden błąd zasadniczy, który jest dla nas zbawieniem: oto zanadto obcesowo i brutalnie usiłują nas wynarodowić za pomocą szkół. To samo dzieje się i za szkołą na wszelkich polach utarczek życiowych.

O tej brutalności i przemocy w systemie pedagogicznym świadczą fakty następujące: Przepisy z r. 1870, dotychczas obowiązujące, głoszą, że dziatwa szkolna w oddziale najniższym ma pobierać naukę religii w języku ojczystym. Tymczasem odrazu przepisy owe złamano, wprowadzając nauczycieli, nierozumiejących i niemówiących ani słowa po polsku. Przed kilku laty w jednym z sądów karnych w Prusiech Zachodnich od nauczyciela, świadka, przypadkiem dowiedziano się, że nie rozumiejąc wcale po polsku, uczy on religii katolickiej; a gdy zapytano, w jaki sposób to robi, opowiedział, że starsze dzieci służą mu za tłómaczów, czyli są jego pomocnikami i poniekąd wyręczycielami. Tę samą rolę spełnia jego... kucharka, która umie po polsku. Fakt takiej szykany z religii katolickiej nauczyciel zeznał pod przysięgą. Ale nie na tem koniec: Niemcy z programem wynarodowienia za pomocą szkół łączą obecnie dążność wyzucia ludności polskiej z katolicyzmu. W Prusiech Zachodnich dziś już jest coraz więcej szkół katolickich z nauczycielami protestantami, nie znającymi języka polskiego. Jednocześnie odsunięto zupełnie duchowieństwo katolickie od dozoru nad szkołami; natomiast powierzono te obowiązki pastorom ewangelickim w gminach i szkołach katolickich.

Na zakończenie podajemy jeszcze fakt gwałtu i przemocy organizacyi hakatystycznej: W Berlinie przed sądem ławniczym odbył się proces wytoczony odpowiedzialnemu redaktorowi *Dziennika Poznańskiego*, przez trzy filary hakatyzmu: pp. Hansemanna, Kennemanna i Tiedemanna z powodu artykułu, dowodzącego, że całe wystąpienie przeciwko zjazdowi lekarzy i przyrodników polskich, było sztucznym wytworem, świadczącym o przewrotności, faryzeuszostwie, oraz podstępach ministrów i uczniów hakatyzmu. Trybunał skazał oskarżonego na 75 mar., z uwzględnieniem okoliczności łagodzących, gdyż „artykuł był napisany pod wrażeniem wystąpień przeciwko narodowości polskiej, które każdego uczciwego człowieka muszą ciężko dotknąć.“ Obrońca przywódców hakatyzmu wypowiedział przy sposobności pogróżkę, że stowarzyszenie za każdą obrazę wytaczać będzie procesy prasie polskiej. *et.*

LISTY Z PARYŻA.

Antisemityzm we Francyi.

Antisemityzm święci obecnie coraz to nowe tryumfy na ziemi francuskiej. Parę miesięcy temu zjawiła się w Izbie posłów, pierwsza we Francyi, grupa antisemicka. Przed kilkoma tygodniami odbył się w Lyonie drugi zjazd antisemitów. Dwudziestego zaś listopada trzydziestu sześciu głosami na trzydzieści siedem został obrany burmistrzem miasta Algieru dwudziestopięcioletni Maks Régis, wódz przeciwżydowców.

Widocznem jest stąd, że ruch antisemicki zaczyna grać znaczną rolę w życiu Francyi. Nakreślę więc pokrótce rys jego dziejów i obecnego stanu.

Nie jest on tu nowością. Jego wzrost w ostatnich czasach był niewątpliwie nagły, ale początków trzeba szukać w czasach dość dawnych.

Można powiedzieć, że datuje się od rewolucyi francuskiej. Bernard Lazare w wyśmienitej swej książce o dziejach i przyczynach antisemityzmu (*L'antisémitisme, son histoire et ses causes.* Paryż 1894) zwraca bardzo słusznie uwagę na rozprawę ogłoszoną w r. 1817 w Paryżu przez kawalera de Maleta pod tytułem: „Badania historyczne i polityczne dowodzące istnienia pewnej sekty rewolucyjnej, jej starodawnego początku, ustroju, środków, jako też celu i odsłaniające w zupełności jedyny powód rewolucyi francuskiej.“

Jedyną przyczyną owej rewolucyi byli zdaniem autora, Żydzi. Pogląd taki nie zrodził się wyłącznie w umyśle Maleta. Równouprawnienie Żydów, dokonane przez rewolucyę, udział w niej lóż wolnomularskich, do których należała pewna ilość semitów, dość znaczna rola, jaką grały tu sekty Iluminatów, Różokrzyżowców i Martynistów, zbliżone nieco pod względem zasad do judaizmu, wreszcie międzynarodowość poruszenia rewolucyjnego nasunęły domysł ludziom, nie patrzącym zbyt głęboko, iż cała rewolucya była tylko wybuchem uknutym przez Żydów i przez nich kierowanym. Śmieszne to, ale stwierdzone przez wybitnych dziejopisarzów, jak naprzykład przez Ludwika Blanca *)

Zdania tego bronił nietylko de Malet. Wyłożył je jeszcze lepiej ksiądz Barruel w swoich „Pamiętnikach o Jakobinizmie,“ potem to samo powtórzył Crétineau Joly w „Kościele rzymskim przed rewolucyą“ (Paryż 1863); wszyscy trzej, traktując rewolucyę z wrogiego stanowiska, nie szczędzili słów potępienia i dla jej domniemanych sprawców.

Po roku 1880, kiedy niechęć do Żydów rozgorzała silniejszym płomieniem, podnieśli ową myśl de Saint André (*Francs maçons et juifs.* Paryż 1880), Dom Deschams (*Les sociétés et la société*, z przedmową i dodatkami Klaudyusza Janneta. Paryż 1883), A. Chabanty (*Les juifs nos maîtres.* Paryż 1883). Broszurek i artykułów późniejszych nie wyliczam.

Około roku 1848 zaczęto podnosić kwestyę żydowską z innego stanowiska. Toussenel wydał w 1847 słynną swą książkę: „Żydzi królowie epoki“ (*Les juifs rois de l'époque*). Poparł ją jeszcze gwałtowną polemiką w dzienniku *La démocratie pacifique.* Ekonomiczny ruch antisemicki wezbrał wówczas potężną falą. Ogłoszono wielką ilość pamfletów politycznych przeciw finansistom żydowskim, a w r. 1855 ukazało się nowe poważne dzieło z tego zakresu, mianowicie Capefigue'a

*) *Histoire de la révolution française*, II, 74.

„Historya wielkich operacyj finansowych.“

Znacznie później dołączył się czynnik etnograficzny. Dopiero pod wpływem niemieckich rozpraw Marra (1879), Treitschkego (1888) i Wagnera zaczęto zwalczać Żydów w imię szczepowości.

Wszystkie te argumenty: rasowe, ekonomiczne i religijno-polityczne splótł w jeden bicz Drumont. Od niego datuje się nowy okres w dziejach antisemityzmu.

Wybuchy dotąd bądź tylko teoretyczne, bądź krótkotrwałe, nabrały ciągłości z chwilą, kiedy Drumont założył dziennik *Wolne słowo* (*Libre parole*). Autor głośnej „Francyi Żydowskiej“ (*La France juive* 1886), wsławiony pojedynkiem z Arturem Meyerem, gdzie po starciu na szable nastąpiło między przeciwnikami starcie na pięści, podsyca od siedmiu lat z całą wytrwałością ruch przeciwsemicki. Zresztą przy jego ogniu pieką sobie chlebki nietylko antysemici, lecz wogóle wszystkie odłamy wsteczników.

Ale czy ruch ten ma widoki powodzenia w Rzeczypospolitej francuskiej?

Ilość Żydów jest w niej bardzo nieznaczna. Według ostatniego numeru „Antijuifa“ (biorę cyfry umyślnie z tego stronnego źródła) liczy Francya Żydów 0,15 na sto! Stanowi to razem około siedemdziesięciu tysięcy. W tej liczbie proletaryat żydowski stanowi część stosunkowo małą: tylko w Paryżu na wyspie świętego Ludwika zbił się on w dość dużą gromadę. Ogół Żydów francuskich jest bogaty, a według obliczeń posiada niemal jedną czwartą majątku całego państwa.

Nic dziw zresztą, gdy liczy takich Rotszyldów, Hirszów itp.

Odmiennie ukształtowały się stosunki w Algierze. Tu Żydzi osiedli jeszcze za czasów arabskich, a liczba ich dosięga również, włączając nawet Tunis, około siedemdziesięciu tysięcy. Ponieważ Algier zaczął rozwijać się dopiero w ostatnich czasach, więc kapitały żydowskie, zresztą zarówno jak inne, nie mogły znaleźć umieszczenia w wielkich przedsiębiorstwach i narastały tylko zwolna. W każdym jednak razie Żydzi, dopuszczeni za rządów francuskich do praw, rzucili się energicznie do dziedzin, w znacznej części zamkniętych przed nimi za czasów turecko-dejowskich. Jakoż od czasu przyłączenia Algieru do Francyi poderwali ogromnie swem współzawodnictwem przemysł i położenie majątkowe Maurów. Arabów i Kabylów nie narazili sobie zbytnio, bo pierwsi są za leniwi i trzymają się zdala od spraw tego świata, drudzy zaś stanowią ludność bardzo skrzętną i wyłącznie niemal rolniczą. Ale niechęć, jaką żywią ku nim Maurowie, udzieliła się osadnikom europejskim, zwłaszcza że i ci padają często ofiarą bądź współzawodnictwa, bądź (mimo wszelkich starań niewytępionej doszczętnie) lichwy żydowskiej.

Żydzi więc algierscy, liczniejsi w stosunku do ogółu ludności, posiadający kapitały głównie w mniejszych przedsiębiorstwach i działający wskutek tego pośród warstw niższych, zetknęli się znacznie bliżej z masami, niż ich współwyznawcy francuscy. Potrzeba dodać jeszcze, że gdy Żydzi we Francyi upodobnili się po części do Francuzów, w Algierze ich organizacya kahałowa i właściwości rasowo-religijne zachowały się w zupełności. Stąd też antisemityzm miał o wiele więcej zadatków rozwoju w Algierze, niż w kraju macierzystym.

Jeszcze przed Drumontem znaczna część pism algierskich odznaczała się wyraźną niechęcią ku Izraelitom. Książka Rostafińskiego „Świat i ludzie Algieru,“ zawiera w rozdziale o Żydach parę ciekawych próbek ich wyrażania się przed rokiem 1890. To też „La libre parole“ wywarła duży wpływ przedewszystkiem na Francuzów algierskich. Do dziś jeszcze między napięciem ruchu antisemickiego w Rzeczypospolitej i w jej posiadłościach północno afrykańskich jest wielka różnica.

Pomijam rozmaite drobniejsze wypadki od 1892 do 1897. Przy końcu zeszłego roku poruszenie sprawy Dreyfusa wywarło na bieg antisemizmu silny wpływ. Ruchliwi agitatorzy wyzyskali doskonale wzburzenie umysłów, a owoce ich pracy ujawniły się bardzo szybko. Mamy na myśli zaburzenia algierskie, w których kilka osób poniosło śmierć.

Obecnie wrzenie umysłów doszło nawet we Francyi do wysokiego stopnia. Przytoczę jeden fakt: dnia 26 października 1898 w Paryżu na rogu ulicy Aubera i Scribe'a jakiś zapaleniec antisemicki, stanąwszy przed jednym ze sklepów, poczyna dowodzić, że sklep ten należy do Żyda i że trzeba go zrabować.

Na poparcie swoich słów druzgocze laską szybę wystawową. Kilku jego towarzyszy pomaga mu. Nadbiega jednak dwóch policyantów i ochładzają zapał śmiałków, zabierając ich do aresztu.

Niektóre zdobycze ruchu antisemickiego zaznaczyłem w początku. Grupa posłów tej barwy czyni obecnie starania o zniesienie równouprawnienia Żydów algierskich, dokonanego w r. 1870. Generalna rada Algieru popiera te żądania jednogłośnie. Rząd uczynił na razie to ustępstwo, że przyrzekł znieść organizacyę kahałową w Tunisie i Algierze. Innych wyraźnych żądań nie postawili dotąd ani antisemici algierscy, urządzający nieustannie wiece, ani też francuscy, broniący zajadle „szabli i kropidła“ w sprawie Dreyfusa.

Dalszym skutkiem wzmożenia się antisemizmu jest wzrost odpowiedniej prasy. W Algierze tych grzybów dziennikarskich wyrosło niemało, we Francyi powstała w zeszłym roku „Krucyata francuska“ (*La croisade française*) wzywająca wszystkich do łączności celem zażegnania niebezpieczeństwa „żydowsko-wolnomularskiego“ (określenie de Malcta), w maju zaś 1898 znacznie gwałtowniejszy *Antijuif*, wydawany tygodniowo. Głównymi jego redaktorami są Juliusz Guérin, i wspomniany Maks Régis. Jaśnieje on tymiż wdziękami, co warszawska *Rola*, ale redagowany jest z większym talentem. Pismo nie ogranicza się sprawą Żydów francuskich, poświęca ono wiele miejsca i antisemityzmowi, jako też wogóle kwestyi żydowskiej za granicą. Można powiedzieć, że jest ono jednem z najlepiej poinformowanych o stosunkach nie francuskich, rzecz w prasie paryskiej bardzo rzadka. Pisze doskonale nazwiska polskie. Poprzysięgło nienawiść nawet tym, co przed stu i więcej laty wychrzcili się, w każdym numerze mieści tak zwane „Gotha żydowskie,“ a przeglądając je znalazłem pośród nazwisk arystokracyi hebrajskiej nazwiska Bartoszewiczów, Bielskich itp., jakkolwiek, według dodanej uwagi, wychrzcili się już w r. 1764!

Rzut oka na ostatnią stronicę pisma pozwala nam wyrobić sobie pewne pojęcie o organizacyi antisemitów. Dowiadujemy się, iż głównem ich towarzystwem jest „Francuska Liga antisemicka,“ która powstała z połączenia „Ligi przeciwżydowskiej“ francuskiej i algierskiej. Prezesem honorowym jest Edward Drumont. Liga urządza „antisemickie koła studyów społecznych,“ szerzy książki i śpiewy antisemickie, ma sekcye cyklistów i strzelców—rozumie się antisemickich. Kolarze grają dość ważną rolę: objeżdżają Francyę i szerzą po wsiach swoje pisma i zasady.

Liga urządziła nawet antisemickie towarzystwo przewozu towarów.

Jako próbkę stylu zwolenników Drumonta i Régisa dam wyjątek z pisma *Réveil algérien*. Ogłasza ono następujący list do jednego ze swoich „najczcigodniejszych korespondentów“:

„Szanowny panie redaktorze!

Wyczytaliśmy przed kilkoma dniami, ja i kilku moich przyjaciół, wiadomość, która nas napełniła radością. Pewien porucznik, nazwiskiem Dreyfus, bliski lub daleki krewny, a w każdym razie imiennik nędznego i osławionego zdrajcy, roztrzaskał sobie czaszkę, padając z konia.

Nie wiemy, czy ten oficer oczekiwał, jak jego kuzyn, stopnia kapitana i dostępu do biura sztabu generalnego, aby zdradzać nasze plany wrogom, ale na wiadomość o jego śmierci puściliśmy się w tany.

Po ochłonięciu z radości pomyśleliśmy o szlachetnem zwierzęciu przeciwżydowskiem (généreuse bête antijuive), które w tak godny sposób przyczyniło się do usunięcia Żydów z organizacyi wojskowej, usunięcia tak pożądanego dla nas.

Co się stało z tym sławnym koniem? O to zapytaliśmy się z niepokojem.

Boimy się bardzo, aby Żydzi nie pozwali go do sądu, albo nie uśmiercili. Po namyśle też postanowiliśmy za pomocą pańskiego dziennika uwiadomić obecnego właściciela dzielnego zwierzęcia, że grupa przeciwżydowców z Oranu ma zamiar kupić go dla zapewnienia mu tak dobrze zasłużonego, dobrego bytu.

Proszę przyjąć wyrazy itd.

Jeden z przeciwżydowców orańskich.“

W. Bugiel.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Kosmopolityzm.

A jednakże — zauważył mój bardzo młody i bardzo rozumny gość — wszyscy twórcy religii, wszyscy wielcy reformatorowie byli kosmopolitami.

— Naprzód — nie. Cywilizacya nie jest Minerwą, która wyskoczyła gotowa z głowy grecko rzymskiego Jowisza i później przyjęła chrześcianizm, lecz jest to tkanina, którą ludzkość snuje powoli i mozolnie od chwili zjawienia się swojego na ziemi, czyli od niepamiętnych lat. My wobec niej zachowujemy się jak dorobkiewicze majątków i tytułów, którzy liczą historyę swoich rodów odtąd, kiedy zostali bogatymi szlachcicami. Tymczasem przed tym ciągiem dziejów, który nazywamy cywilizacyą, a nawet w pierwszych jego epokach występowali znakomici mistrze plemion i narodów, którzy dla nich wyłącznie tworzyli religie i prawidła życia szczęśliwego. Powtóre, chociaż nowsi reformatorowie byli rzeczywiście kosmopolitami, to nie dowodzi wcale, ażeby ich wyznawcy i czciciele zajmowali to stanowisko.

— Nie rozumiem różnicy.

— Bardzo prosta. Obecny stan naszej kultury nie sprzyja już istnieniu oderwanych od całości i zamkniętych w sobie grup ludzkich, któreby opanowawszy kawał ziemi i kawał nieba, myślały tylko o własnem życiu i poddawały je pod moc własnych bogów, nietroszczących się wcale o resztę ludzi i zrzekających się nad nimi wszelkiej władzy. Systematy religijne średnich i nowszych wieków zaczęły obejmować całą ziemię i całe niebo — stanęły na gruncie powszechności. Zarówno Mahomet, jak Luter lub Kalwin, nie myśleli wcale o wierze dla Arabów lub Niemców, lecz pragnęli swoją nauką o-

garnąć i zbawić cały świat, byli kosmopolitami. Ale nie każdy człowiek jest wodzem i mistrzem, jak nie każda planeta jest słońcem. Wokoło słońca krążą ciała niebieskie, utrzymywane siłą jego przyciągania i oświetlone jego promieniami, ale nadto obracają się około własnej osi. Podobnie ciała społeczne krążąc około idei szczęścia powszechnego, przyciągane ku niej siłą ciążenia i oblane jej światłem, odbywają jeszcze ruch około osi szczęścia własnego. I ten to ostatni ruch jest najgłówniejszym dla każdej cząsteczki ciała niebieskiego i społecznego.

— Czemu?

— Bo taka jest natura ich przeznaczeń. Ludzie genialni, wielcy reformatorowie mają w swym duchu odpowiednią potęgę do prowadzenia ludzkości ku powszechnemu dobru; miliony zaś osobników zwyczajnych posiadają zaledwie tyle siły, ile potrzeba dla pożytecznego działania w pewnem ograniczonem kole. Wyobraźmy sobie jakikolwiek z niezliczonych ułamków rodu ludzkiego: rolnika, kupca, nauczyciela itd. — przy największem wytężeniu swych uzdolnień może on co najwyżej uszczęśliwić swoją rodzinę, przyjaciół, znajomych i złożyć jakąś drobną ofiarę na ołtarzu pomyślności społecznej. Przypuśćmy, że ten skromny człowiek zechce nagle zbawiać świat: cóż on może zdziałać w tym kierunku? Może usypać górę słów, która na szalach dobra powszechnego nie zaważy nawet ziarnkiem piasku. Jeżeli tedy reformatorzy, prorocy, apostołowie, wielcy wodzowie i mistrze byli kosmopolitami, to rozumiemy ich w tej roli, bo oni wytykali drogi pochodu ludzkości, chociaż żaden z nich nie zdołał owładnąć całą; ale jeżeli na kosmopolitycznego konia wsiądzie pierwszy lepszy ochotnik, który najbliższemu swemu otoczeniu nie umie oddać najzwyklejszych usług — to daje on z siebie widowisko bardzo śmiesznej parady. Tkwi w tych popisach dużo mimowolnego humoru lub chorobliwego wynaturzenia. Taki dobroczyńca świata, który spokojnie przypatruje się obrazom niedoli u siebie w domu, a natomiast wzrusza się nieszczęściami istot cierpiących na drugiej półkuli ziemi — jest zabawnym frazesowiczem lub zwyrodniałym fanatykiem. Nikt nie dźwignie swemi ramionami wszystkich nieszczęść ludzkich, każdy może unieść zaledwie ich cząstkę. A czemuż to dla kosmopolity z Warszawy ma być ważniejszą cząstka nad Tamizą, niż nad Wisłą? Dlaczegoż on nie podejmuje zadań, leżących blizko niego, które spełnić może czynem, tylko sięga po odległe, które zdoła jedynie obrzucić słowem? To rozczulanie się nad głodem w Indyach, nad powodziami w Chinach, nad nędzą we Włoszech lub Hiszpanii, podczas gdy tuż obok bieda woła daremnie o ratunek, jest czemś tak niedorzecznem i waryackiem, że doprawdy trudno uwierzyć w szczerość podobnego sentymentalizmu. Każde cierpienie jest godnem wzruszeń naszego serca, gdziekolwiek powstaje, ale nie każde nakłada na nas obowiązki czynnego miłosierdzia. Spełniajmy przedewszystkiem te, które leżą w obrębie naszych bezpośrednich stosunków i działalności — to wystarczy, a nie podróżujmy po całym globie z naszą litością, bo ona nikomu nie sprawi ulgi.

— Zgodzi się pan jednak na to, że sami reformatorowie nie mogą dokonać zbratania ludzkości i że wskazana przez nich spójnia musi być spleciona z tysiąca nici przez ich wyznawców. Wódz daje plan bitwy, ale nie on zwycięża tylko jego wojsko.

— A dlaczego ono wykonywa jego plan i zwycięża? Dlatego, że każdy żołnierz spełnia zadania w zakresie swego stanowiska. Wyobraź pan sobie, że ten żołnierz, zamiast strzelać i słuchać komendy, rozmyślałby nad taktyką całej wojny, a zamiast nieść pomoc rannym obok niego towarzyszom, ubolewałby nad padającymi w rozgrywającej się równocześnie innej bitwie o tysiąc mil odległej. Co by to było?

— Prawda, trudno wszakże przepisywać każdemu człowiekowi ramy, w jakich ma zawrzeć swe myśli i uczucia. Są ludzie, którzy nie należą do olbrzymów i biegu życia ani na włos nie zwrócą, mimo to, jak reformatorowie i hetmani postępu, rozmyślają ciągle o szczęściu całej ludzkości i odczuwają jej cierpienia.

— Niech to robią, jeśli konieczność wewnętrzna zmusza ich umysł do błądzenia po tych szlakach. Ale oprócz szczerego marzycielstwa istnieje podobna do niego moda, próżność, która ściąga daleko więcej zwolenników. Ci mniemają, że kto prawi o jednej wsi, wart mniej, niż ten, kto prawi o gminie; kto zajęty jest gminą, nie godzien równać się z orędownikiem powiatu, gubernii, narodu, państwa, części świata itd., a, rozumie się, najwyższą godność posiadają patronowie całej ludzkości. Cóż im szkodzi sięgnąć odrazu po ten najdostojniejszy tytuł? Tak się z nim dumnie noszą, tak z góry patrzą na ów mizerny motloch, który nie rości sobie pretensyi do zbawicielstwa świata. A gdyby jeszcze odkryto istoty człowiecze na Marsie, tam również pospieszyliby ze swemi sympatyami. Aby jak najdalej od miejsca, na którem mogliby rozwinąć użyteczną działalność. Naturalnie losy ludzkości nic a nic nie zyskają na opiece tych jej dobroczyńców, jeżeli do korzyści nie zaliczymy deklamatorstwa. Tonie ono w koszach i szafach redakcyjnych, czeka miłosiernego przypadku na półkach księgarskich, na motylich skrzydłach świstków oblatuje przez kilka dni koła czytelników, wybucha w zebraniach i nazajutrz milknie—a świat toczy się zwykłą koleją, dopóki go jakaś wielka siła na inną nie zwróci. Czy jedyną szkodą jest tu tylko zmarnowanie pewnej sumy energii, która mogłaby być zużytkowaną w pracy owocnej? Nie, dołącza się bowiem jeszcze zły wpływ na myśli, uczucia i dążenia większych lub mniejszych otoczeń, które nie puszczają i nie gonią kosmopolitycznych latawców, ale zniechęcają się do działalności altruistycznej wogóle. Człowiek najłatwiej daje się namawiać do samolubstwa. Więc gdy słyszy hasła padające z wysokich szczytów frazeologii, że jego zaścianek nie wart starań, a jego najbliżsi bracia niegodni poświęceń, i gdy z drugiej strony nie ma chęci do mesyanizmu, zamyka się w swej skorupie egoistycznej i żyje tylko jej dobrem. Z czasem społeczeństwo rozmnaża się w marzycieli, deklamatorów i samolubów, a uboŻeje w tych, którzy wytwarzają świeżą krew dla jego organizmu.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

OBECNY STAN BADAŃ nad historyą chłopów w dawnej Polsce.

IV.

Koszycki przywilej króla Ludwika z r. 1374 określił już nie w formie wyjątku prawnego, jak było dotąd, ale ogólnie, że wszelkie ciężary chłopskie przechodzą na kler i szlachtę, z wyjątkiem 2 groszy podatku łanowego. W ten sposób terytoryalna władza „pana“ nad chłopem uzyskała pierwszą ogólną sankcyę ustawową, a że późniejsze wypadki polityczne wspierały systematycznie jej wzrost, otóż nic dziwnego, że korzystny stosunkowo stan społeczny chłopów, osadzonych teraz masowo na prawie niemieckiem, zaczął się pogarszać powoli. Wykup dziedzicznych sołtysów przez kler i szlachtę stał się społeczno - prawnym wstępem do tego pogarszania się; o upadku sądownictwa gminnego pisałem już, a równocześnie i równorzędnie z tym faktem społecznym zaczęły rosnąć czynsze chłopskie, pozbawione naturalnej ochrony prawnej w stanie sołtysim i podporządkowanym teraz w razie sporu najwyższym orzeczeniom sądów patrymonialnych. Szajnocha w „Jadwidze i Jagielle“ robi wyciąg z czynszów i danin wsi Jałowa, założonej na prawie niemieckiem, za rok 1405. Wieś ta, leżąca pod Sandomierzem, dawała panu swemu 30 jaj, 2 sery, 2 kury, ½ grzywny łanowej i *już* „8 dni pańszczyzny rocznej od głowy.“ Jak widzimy, daniny i czynsze są tu jeszcze dość niskie, ale słusznie podnosi hr. Roztworowski, że tych 8 dni robocizny należy wliczyć do czynszów jako opłatę w robociznie za ulgi w opłatach gotówką. W miarę zaś, jak opłaty te rosły, chłop czynszowy, osadzony na prawie niemieckiem, ale ekonomicznie związany ściśle z gospodarką naturalną, wolał sam wykupić się od czynszów pieniężnych daninami w naturze i robocizną, która przedtem znaną była tylko jako dodatek nadzwyczajny do „ciężarów prawa polskiego.“ Tą drogą „ciężary“ te rozpoczęły stopniowo rosnący powrót na wsie czynszowe i w chwili, kiedy już stały się na nowo regułą społeczną — upadły najważniejsze korzyści, jakie ludność chłopska osiągnęła była z lokacyj niemieckich. Nadto nastąpiło względne pogorszenie, albowiem upadły resztki jurysdykcyi grodowej, książęcej, a prawo niemieckie przemieniło się na ściśle patrymonialne, aniżeli kiedykolwiek przedtem w czasach istnienia „ciężarów prawa polskiego.“ Walka drobnej szlachty z wielmożami, która pozwalała królom Kazimierzowi IV i Janowi Albertowi marzyć o wzroście władzy królewskiej na barkach t. zw. gminu szlacheckiego, nie wydała wprawdzie spodziewanych rezultatów dla Jagiellonów, ale za to dopełniła miary pogarszania się społecznego stanu chłopów. Wybitnym punktem zwrotnym w tym kierunku jest statut Jana Alberta z r. 1496, wydany w celach politycznych dla gminu szlacheckiego, dążącego ze względów gospodarczych do silniejszej „władzy“ nad chłopem, aniżeli możnowładcy. Statut ten określił krótko i stanowczo: 1) panu wolno odebrać łan chłopu; 2) chłopi i ich najstarsi synowie są stale przywiązani do gleby, a młodzi synowie mogą opuszczać wieś tylko za zezwoleniem panów; 3) osobę prawną chłopa zastępuje pan, a więc chłop nie może zostać księdzem, ani też kupować ziemi na własność; wolne grunta, o ile jeszcze istnieją, muszą być w ciągu czterech lat sprzedane. Ponieważ statut ten odnosił się do wszystkich chłopów, a więc i do osadzonych na prawie niemieckiem, otóż została przezeń nadaną prawna sankcya całej niekorzystnej dla chłopów ewolucyi „prawa niemieckiego“ w Polsce od chwili wydania przywileju koszyckiego po koniec XV w. Odtąd zanika *de facto* różnica między wsiami, podlegającemi jeszcze prawu polskiemu i osadzonemi na prawie niemieckiem, lub—np. na Pokuciu — wołoskiem, a natomiast dawni „przypisańcy,“ „narocznicy“ i „czynszownicy„ stają się wszędzie *poddanymi* kleru, szlachty i w domenach—zastępców królewskich; do dawnych zaś ciężarów, czynszów i danin dołącza się jako stały i główny obowiązek chłopa wobec pana--

pańszczyzna. Jedna tylko korzyść pozostała z rolniczej kolonizacyi niemieckiej, tj. względny wzrost samorządu gminnego, złączonego z najniższą, wiejską jurysdykcyą i ściślej, aniżeli przedtem określoną organizacyą gminną. Z tym samorządem muszą się liczyć wszyscy „panowie“ i nie mogą, mimo władzy zmieniania i wydawania ustaw wiejskich — naruszać utrwalonych zwyczajów praw gminnych. Obok „pana“ zabiera głos doradczy i wyjątkowo nawet stanowczy we wszystkich sprawach gminnych ów zorganizowany samorząd wiejski, opierający się o szeroką podstawę społeczną, tj. o ogół „kmieci,“ zwany w ustawach wiejskich zawsze „gromadą.“

W czasie wydania pierwszej parlamentarnej ustawy polskiej „nihil novi“ 1505 r., która uświęciła tworzącą się przez całe średniowiecze budowę społeczną „rzeczypospolitej szlacheckiej z królem na czele“ — ukończoną już była także podstawa tej budowy, tj. terytoryalna władza wiejska trzech stanów sejmowych: króla, kleru i szlachty. Początek jej ginie, jak widzieliśmy, w półmroku historycznym tworzenia się *państwa* polskiego i ma wówczas charakter prawa książęcego, które za pośrednictwem organizacyi grodowej nadzoruje i pobiera od ludności wieśniaczej uciążliwe „angaria juris polonicae“ (ciężary prawa polskiego). To prawo książęce przechodzi, od końca XI w. począwszy, częściowo na obdarowanych przez książąt dobrami ziemskiemi duchownych i szlachtę razem z prawem sądzenia chłopów bez odwoływania się do jurysdykcyi grodowej, ale jeszcze z zachowaniem najwyższej książęcej. Polska w „podziałach“ przybiera pod względem społeczno-prawnym postać szachownicy, w której pola białe oznaczają dalszy ciąg organizacyi grodowej, mianowicie w dobrach książęcych, a nowe — pola czarne, to dobra prywatne z rozwijającą się jurysdykcyą patrymonialną. Na obu kategoryach tych pól społecznych zaszczepia się w końcu XII w. roślina zagraniczna, tj. osadnictwo wiejskie i miejskie na prawie niemieckiem, które od połowy XIII w. rozrasta się bujnie, usuwając wszędzie ciężary prawa polskiego i złączoną z nimi jurysdykcyę grodową, tudzież najstarszą patrymonialną i wprowadzając natomiast ciężary czynszowe, tudzież jurysdykcyę autonomiczną, gminną, podporządkowaną jednak książęcej i patrymonialnej nowej, tj. stosującej się do postanowień prawa niemieckiego. Nowy ten stan rzeczy utrwala się i względnie przez pewien czas rozwija tylko po miastach, po wsiach zaś staje się bezpośrednią podstawą dalszego wzrostu władzy terytoryalnej wiejskiej. Podścielisko ekonomiczne decyduje o wszystkich tych zmianach społeczno-prawnych. Na upadającej gospodarce rodowej, komunistycznej, rozwija się różniczkowanie stanowe, podścielisko upaństwowienia plemion polskich i tem samem „ciężarów i jurysdykcyi prawa polskiego“ grodowego, a pośrednio i patrymonialnego. Gospodarczy napór kolonistów z Niemiec, wzmocniony po przejściu nawały mongolskiej potrzebą rąk do pracy po grodach i na roli, stwarza osadnictwo niemieckie z wszystkiemi jego ekonomicznemi i prawnemi formami. Fakt ten jest pozytywnie stwierdzony formułą przywilejów kolonizacyjnych, i o podścielisku ekonomicznem dalszej ewolucyi osadnictwa nie wątpi żaden historyk. Z jednej strony użytkowcy dóbr koronnych i prywatni posiadacze ziemskich dążą do zwiększenia ciężarów czynszowych, głównie przy pomocy wykupionej od dziedzicznych sołtysów władzy gminnej; z drugiej zaś strony nie mogą wytrzymać chłopi tego nacisku pieniężnego i sami zamieniają czynsze w gotówce za zgodą „panów“ — na daniny w naturze, tak ściśle zawsze złączone z gospodarką naturalną i na robociznę pańszczyznianą, która w XV w. staje się już ciężarem ogólnym, acz początkowo dość jeszcze małym. Równocześnie wykupiona sołtysia władza sądownicza przemienia się na zleconą patrymonialną, wykonywaną przez sądy „gromadzkie“ z prawem odwoływania się tylko do sądów „dworskich,“ tj. bezpośrednich patrymonialnych i z usunięciem apelacyi do sądów królewskich. Z tą zmianą łączy się od XVI w. ściśle prawo „pańskie“ wydawania i zmieniania ustaw wiejskich, ale lepiej, aniżeli przedtem zorganizowany samorząd „gromadzki“ ma odtąd zawsze miejscowe znaczenie względnego regulatora wiejskiego władzy terytoryalnej. Nowy ten stan rzeczy uzyskuje sankcyę prawną w statucie Jana Alberta, pozwala na wydanie ustawy parlamentarnej „nihil novi“ tylko dla kleru i szlachty i mimo radykalnych często głosów reformatorskich „statystów“ XIV w., utrwala się aż do r. 1795. Punktami wytycznymi tego utrwalania się są nieliczne, ale zasadniczo ważne uchwały sejmów polskich. R. 1520 uchwalono, że każdy chłop musi przynajmniej jeden dzień w tygodniu pracować na gruntach „dworskich“; r. 1543 wyszła ustawa, zabraniająca „panom“ przyjmować chłopów, zbiegłych z obcych wsi i nakazująca ich zwrot panu właściwemu. Równocześnie stwierdzono ustawą, że panom wolno według uznania powiększać czynsze i pańszczyznę. W paktach konwentach 1573 r. z Henrykiem Valois odebrano chłopom ostatnie zabytki osobowości prawnej. Odtąd chłopu nie wolno osobiście jawić się przed rządem królewskim i w razie wyjątkowej potrzeby zastępuje go tam pan. W dobrach koronnych, które od r. 1598 wypuszczano zwykle starostom w dożywotną tenutę, stali się oni *de facto* wobec chłopa takimi samymi „panami,“ jak kler i szlachta w dobrach prywatnych i odtąd też wiejska władza terytoryalna była już w całej „rzeczypospolitej szlacheckiej“ regułą bez wyjątków, z odliczeniem chyba wojskowej organizacyi kozackiej. Ustawa z 3 maja 1791 r. zreformowała położenie chłopów o tyle, że ograniczyła jurysdykcyę patrymonialną, ale — jak wiadomo — późniejsze wypadki polityczne nie pozwoliły na wejście jej w życie.

Wspomniałem już, że monografii historycznej o chłopach w Polsce nowożytnej nie posiadamy, z wyjątkiem rozprawy prof. Ulanowskiego: „Wieś polska pod względem prawnym od XVI—XVIII w.,“ drukowanej 1894 r. w roczniku krakowskiej Akademii umiej. Pisałem także, że rozprawa ta opiera się na nader cennem źródle, tj. na księgach prawnych wiejskich, ale tylko jednej wsi, mianowicie Kasiny Wielkiej, która do r. 1597 była w posiadaniu rodziny Niewiarowskich, a następnie stale należała do składu obszernych dóbr klasztoru dominikanów krakowskich. Ulanowski, pisząc o tej jednej wsi, uogólnia często jej stan prawny z innemi wsiami w Polsce, w czem zasadniczego błędu nie popełnia, ale słusznie zastrzega się, że nie pisze całokształtu historyi chłopów w b. Rzeczypospolitej szlacheckiej. Wogóle historya taka — od XVI w. począwszy — wymaga jeszcze żmudnej i wszechstronnej pracy krytycznej, źródłowej i to głównie archiwalnej; dzisiaj można jednak już *a priori* twierdzić stanowczo, że jeśli kiedyś badania wydadzą rezultat ogólny, to historya chłopów w Polsce nowożytnej musi *mutatis mutandis* wzorować się na „Rządach sejmikowych w Polsce“ Pawińskiego. Pawiński musiał oprzeć się na monograficznych dziejach poszczególnych ziem dlatego, że były to samodzielne niejako państwa szlacheckie, zostające pod naczelną władzą „sejmików“ i związane z całem państwem luźnie przez posłów, wysyłanych na sejmy walne i skrępowanych ścisłemi instrukcyami, których przekraczać nie mogli. Praca Ulanowskiego dowodzi, że autonomia ziemska, sejmikowa była jednak jeszcze szczupłą w porównaniu z wyodrębnieniem od całego państwa każdej wsi, lub co najwyżej dóbr ziemskich, należących do jednego „pana.“ Wieś Kasina Wielka jest małem „państwem“ pod władzą absolutną „dworu“ dominikańskiego, reprezentowanego przez przeora i przez zarządcę wiejskiego. Prawną podstawą rządów tego wiejskiego „państwa“ są wydawane przez „dwór“ ustawy, które są zupełnie niezależne nawet od ustaw w innych wsiach tego samego „dworu.“ Tak unormowany zwyczajowo samorząd gminny ma charakter czysto miejscowy, to też chcąc uzyskać dzisiaj jakieś ogólniejsze typy stanu gospodarczego i prawnego wsi w Polsce nowożytnej, konieczną okazuje się rzeczą zestawienie wielkiego szeregu takich monografij, jaką jest praca Ulanowskiego.

Mając zamiar przedstawić szkicowo obecny stan badań nad całokształtem historyi chłopów w b. państwie polskiem, nie mogę wchodzić w szczegóły monografii o jednej tylko wsi i ograniczę się na przytoczeniu ogólnych wniosków, jakie U. sam ze swej rozprawy wysnuwa. „Wieś — pisze on — np. Kasina, jest państewkiem dla siebie. Gdyby nie stacye żołnierskie i hiberna, żaden z „obywateli kasińskich“ nie uczułby nigdy, że po za wsią i dworem jest jeszcze b. Rzeczpospolita polska, państwo, obejmujące tysiące dworów i wsi. Związek z gromadą i dworem uważał chłop za naturalny, a z państwem — za ciężar dodatkowy, o którego niezbędności nie zdawał sobie sprawy. Spełniając powinności dworskie, odrabiając pańszczyznę, płacąc czynsz, wiedział chłop, że ma w zamian użytkowanie dziedziczne niepodzielnego gruntu, że ma prawo do opieki pańskiej, że w razie klęski elementarnej dozna ulgi w opłatach i zapomogi w inwentarzu, że instytucye gminne dają mu pewną autonomię i współudział w kwestyach bieżących. Nie wolno, co prawda, chłopu opuszczać wsi, do obcych uczęszczać karczem lub z obcymi ludźmi schodzić się, ale za to ma we wsi wszystko, co dla jego minimalnych potrzeb jest niezbędnem. Dwór jest monarchą, ale nie właścicielem ludzkiego inwentarza; władza dworska jest wielką, ale jej wzrost jest analogiczny do wyrabiania się inteligentnego absolutyzmu na Zachodzie, podczas gdy w Polsce monarcha państwa — władzę na rzecz szlachty zatracał.“

Porównywając te słowa prof. U. ze znacznie surowszą oceną stosunków chłopskich, poddańczych, przez hr. Roztworowskiego, można w nich łatwo dopatrzyć znacznej dozy celowego może optymizmu, ale ograniczywszy ten optymizm do właściwszej nawet miary, nie można zaprzeczyć, że zasada oceny, tj. ekonomiczny stan chłopa pańszczyźnianego, jest wogóle uzasadnioną i historycznie prawdziwą. Cały ustrój prawny ówczesnych „państewek“ wiejskich opierał się — mimo „wielkiej władzy“ i, dodajmy, oburzających częstokroć nadużyć „dworu“ — na ekonomicznej gospodarce naturalnej.

W rozprawie o „fizyokratyzmie w Polsce“ wykazał dr. Marchlewski, że szlachta polska nie zrywała nawet teoretycznie z kierunkiem agrarnym, a w praktyce gospodarczej łączyła ten kierunek jak najściślej z gospodarką naturalną. Zmierzała do tego cała ówczesna polityka ekonomiczna sejmów polskich, która — jak zaznacza dr. Papée w „Historyi Lwowa“ — nakładała cła wysokie na wywóz produktów przemysłowych krajowych i równocześnie otwierała naoścież granice dla ich przywozu. Że w takim stanie rzeczy wzrost nowożytnego kapitalizmu był w b. „rzeczypospolitej szlacheckiej“ niemożliwo-

ścią, jest rzeczą jasną i stwierdzoną całem położeniem ekonomicznem w państwie. To też nie dziw, że byt ekonomiczny chłopów w b. polskich „państewkach" wiejskich mógł być nietylko względnie korzystnym z uwagi na typ gospodarki naturalnej, ale nadto dlatego, że nie doznawał w tej mierze żadnych społeczno-politycznych lub ustawowych zaburzeń. O ile taki stan rzeczy odbijał się niekorzystnie na postępie ekonomicznym, a więc i na prawnej organizacyi państwowej, jest tutaj dla mnie kwestyą uboczną i niejednokrotnie już zresztą podnoszoną; chodzi mi tylko o wykazanie przyczyn, dla których nazwałem ogólną ocenę położenia gospodarczego chłopów w Polsce od XVI do XVIII w., podaną przez Ulanowskiego — prawdą *historyczną*. O ile ta prawda należy dzisiaj już do historyi i o ile jeszcze ma względne znaczenie bieżące, jest to zadaniem przekraczającem granice, które zakreśliłem memu szkicowi, odnosi się bowiem do historyi społecznej chłopów polskich po r. 1795, którą tylko częściowo możnaby łączyć z dzisiejszym stanem badań nad dziejami chłopów w b. *państwie* polskiem.

Dr Kazimierz J. Gorzycki.

LITERATURA I SZTUKA.

ARYSTOKRACYA DUCHA.

Do arystokracyi duchowej każdego narodu należą tylko umysły twórcze w jakiejkolwiekbądź dziedzinie, tj. zdolne wprowadzać w nową, nieistniejącą dotychczas kombinacyę dane materyały i siły społeczno-przyrodnicze. Jedynie na tym gruncie arystokracya ta może znaleźć swe uzasadnianie i udowodnić swą racyę bytu. Wszelkie inne umysły, chociażby najinteligentniejsze i wykonywające operacye nader złożone—o ile nie są samodzielne, należą do dziedziny pracy zawodowej. Są to zwykłe kółka w ogólnej maszyneryi społecznej, które przy odpowiednim nakładzie wydatków mogą być regularnie wytwarzane. Czynić z nich osobną jakąś arystokracyę niema żadnej potrzeby.

Jeżeli zaś istotnie wyższe siły twórcze ludzkości skupione są w pewnych jednostkach, które przez żadne inne, chociażby przy największym nakładzie wydatków, przy najlepszej tresurze, wychowaniu, ukształceniu, zastąpione być nie mogą, to one stanowią arystokracyę naturalną ludzkości. Zaprzeczać istnienia takich jednostek mogą tylko albo ludzie ciemni, albo też sfanatyzowani nienaukowymi przesądami demokratyzmu.

Arystokracya duchowa ma więc jeszcze jakiś sens i uzasadnienie tylko o tyle, o ile się utożsamia z powyższą arystokracyą naturalną. Takiego wyodrębnienia wymaga dobro społeczne, najwyższe prawo rozwoju.

Wysuwamy na czoło wszelkich dociekań użyteczność społeczną nie w żadnych celach moralizatorskich, ale dlatego, iż ona jest siłą realną zasady energii maksymalnej, która jest podstawą całej mechaniki, do zbiorowisk społecznych, w przypuszczeniu, iż poczucie użyteczności stanowi świadomy jej wyraz. Jesteśmy tylko atomami tych zbiorowisk, które dążą wciąż automatycznie do wytworzenia największej sumy energii. W tem zawiera się podstawa nietylko użyteczności materyalnej i piękna, ale także moralności i sprawiedliwości, pojętych w sposób naukowy, tj. jako procesy mechaniczne. Procesy te dążą do wydania gatunków coraz wyższych i tępienia niższych, gdyż w ten sposób urzeczywistnia się zasada energii maksymalnej. Ponieważ jednak rozwój społeczny jest równowagą ruchomą, która obejmuje nietylko ruch postępowy, ale i powrotny, składając się z całego szeregu wahań rytmicznych, więc mogą być okresy, gdy postęp biologiczny jest powstrzymany, gdy dany gatunek wyobraża sobie, iż stanowi ostatnie ogniwo rozwoju i zaczyna już tylko umacniać swe stanowisko, otaczając się fortecą kultury. Jest to jednak złudzenie tylko, gdyż fala powrotna usuwa te przeszkody wrzekome i wszystko toczy się porządkiem naturalnym. Dlatego też w okresach rozkwitu tłumu i wsteczności biologicznej odzywają się zazwyczaj głosy odwrotne, które przecie także należą do natury i do ewolucyi — one stanowią konieczną jej część składową.

To też widzę tylko niezrozumienie sprawy, gdy *Przegląd filozoficzny* (zesz. II, str. 129) stawia zarzut sprzeczności memu twierdzeniu, iż „znajomość praw ewolucyi pozwala przeciwdziałać jej." A mianowicie „przeciwdziałanie" objęte jest przez samą ewolucyę, jako jedna faza w ogólnym jej ruchu wahadłowym.

Sama nauka, jako „znajomość praw ewolucyi," jest objawem tejże ewolucyi. Może ona pozwoli, żeby dalszy rozwój odbywał się w sposób bezkrwawy. Jeżeli dawniej postęp odbywał się drogą tępienia ras niższych, to obecnie nauka usilnie pracuje, przynajmniej w krajach cywilizowanych, nad ich zachowaniem. Chodzi więc już tylko także o świadome zapewnienie rozwoju ras wyższych. Ta ostatnia interwencya nie była potrzebna dopóty, dopóki wszystko odbywało się w sposób „naturalny" — eugeniści zwyciężali. Ale gdy świadomość społeczna i nauka stają po stronie tłumu, to powinny jednocześnie stanąć po stronie eugenistów w interesach całego społeczeństwa, gdyż inaczej pod naciskiem wzrastającej solidarności tłumu niechybnie znikać będą.

Prawda, iż drzewo ludzkości może być już tak spróchniałe, że żadnych nowych płonek nie jest w stanie wydawać—w takim razie wszelkie nawoływania na nic się nie przydadzą: tłum rozrastać się będzie coraz potężniej, przechodząc wszystkie fazy stopniowe coraz większego obniżenia biologicznego. Ostateczny rezultat w tej sprawie wygłoszony będzie przez historyę przyszłym pokoleniom—tymczasem jednak powinniśmy podjąć wszystkie starania dla zapobieżenia złemu, w przekonaniu, iż próby te, chociażby nawet niefortunne, także do ewolucyi należeć będą.

Społeczeństwa ludzkie uwalniały się od swego ogona zwierzęcego nader energicznie — i dobrze czyniły. Typy niższe występne powinny być tępione wszelkimi sposobami bez miłosierdzia, w imieniu dobra społecznego, ale w imieniu tegoż dobra typy wyższe powinny podlegać osobnej hodowli.

Kwestya zaniku ras wyższych, dzięki pracom Lombrosa, Lapouge'a, Ammona, a po części Nietzschego jest obecnie na porządku dziennym; nie widzimy jednak, żeby ktokolwiek wskazał jakiekolwiek jej rozstrzygnięcie. Zaprzątała ona także umysł Renana, który wierzył, iż kiedyś ustalony zostanie rząd geniuszów nad ludzkością, ale przewidywał urzeczywistnienie tego ideału w formach nader chimerycznych. Przedstawiając tłum pod postacią Shakespeareowskiego Kalibana, geniusza zaś pod postacią Prospera, przypuszczał, iż ta ostatnia owładnie z czasem siłami przyrody tak głęboko i tak potężnie, iż potrafi zmusić tłum do posłuszeństwa. To panowanie arystokracyi duchowej opierałoby się wprost na strachu. Konkretnie Renan wyobrażał sobie akademię mędrców, posiadającą tajemnice potężnych środków zniszczenia, których tłum nie zna i przed którymi drży. Nie należy jednak uciekać się do tak fantastycznych środków. Chimera Renanowska mogłaby znaleźć bardziej praktyczne urzeczywistnienie: wyobraźmy sobie kilku genialnych uczonych, którzy wynaleźli środek na suchoty, sposób sztucznego przygotowania białka i kilka maszyn, które czynią pracę ludzką prawie zbyteczną, sprowadzając ją do jakiegoś nieznacznego minimum. Oczywiście, iż ludzie ci posiedliby straszną potęgę i mogliby stawiać swe warunki tłumom. Mogliby rzec: „udzielimy wam wszystkich tych narzędzi dobrobytu materyalnego, wyzwolimy was z pod jarzma natury, ale pod warunkiem, iż poddacie się naszej władzy, której użyjemy nietylko dla waszego dobra, ale także i dla dobra ludzi naszego typu biologicznego, gdyż oni pod waszym naciskiem brutalnym zwyradniają się i znikają." Uczeni ci byliby tylko wyrazem dążenia naturalnego zbiorowisk społecznych do maximum energii, gdyż w ten sposób pracowaliby nietylko dla jednej jakiejś warstwy, ale dla dobrobytu ogółu istniejących i przyszłych pokoleń, którym zapewnialiby dobrobyt i materyały antropologiczne, niezbędne dla sprawiania syntezy. Niestety, tłum zapewnił sobie za pomocą wolnej konkurencyi taką władzę nad uczonymi, iż oni natychmiast po zrobieniu jakiegoś odkrycia zmuszeni są wynieść je na rynek, gdzie wszystkie jego dobrodziejstwa są w jednej chwili rozdrapane i wyzyskane. Dobrobyt tłumu z tego rośnie, ale geniusz się zwyradnia. Wszystkie więc pomysły w rodzaju powyższego należą do dziedziny fantazyi.

Pocieszają się niektórzy optymiści w ten sposób, że gdy dobrobyt tłumu dzięki odkryciom geniuszów, z których tanim kosztem albo nawet darmo korzysta, ostatecznie zapewnionym zostanie, wówczas sam tłum zgodzi się na poprawienie sztuczne rasy, na antropotechnikę. Jest to jednak złudzenie ogromne. Kaliban, gdy ostatecznie przyjdzie do władzy, powie: „Ja będę robił antropotechnikę — zdaje mi się, iż jestem dość zdolny do tego." Każdy typ ludzki, jak wiadomo, wierzy w to, iż jest najlepszym, najpiękniejszym i najrozumniejszym. Jest więc szaleństwem wprost rozmnażać naprzód typy niższe, tępiąc systematycznie wyższe, w jakiejś nadziei chimerycznej, że gdy te ostatnie ulegną ostatecznej zagładzie, a pierwsze pokryją w zupełności powierzchnię ziemi, naraz, cudem jakimś, zacznie się ruch w kierunku odwrotnym: typy niższe uznają swą niższość, ukorzą się przed wyższymi i zaczną je hodować.

A należy pamiętać, iż chodzi tu o największe dobro świata—o nieśmiertelność. W miarę tego, jak nauka rozszerzać się będzie w tłumie, który przekona się, iż jedyna nieśmiertelność niewątpliwa jest ta, którą zapewnia rozmnażanie, walka o prawo pozostawienia dzieci stanie się tak zaciekłą, jak nigdy nie były żadne starcia polityczne, ani materyalne, gdyż walka o chleb zapewnia tylko istnienie osobiste, a walka o miłość zapewnia istnienie w całym, nieokreślonym szeregu pokoleń. Dziś, gdy myślenie metafizyczne jest jeszcze tak rozpowszechnione, jednym z hamulców pod tym względem jest wiara w sławę u potomności. Stanowi ona niewątpliwie pozostałość średniowieczną. Wszystko to oczywiście pod zdrowem tchnieniem myśli naukowej rozproszy się, jak opary wodne pod działaniem promienia słonecznego. Wówczas będzie szaleństwem zupełnem wymagać od kogokolwiek, żeby się wyrzekł największego dobra, nieśmiertelności fizyologicznej, na cudzą korzyść, chociażby ras najwyższych. Dlatego też sądzę, że jeżeli antropotechnika może cokolwiek zdziałać dla zachowania arysto-

kracyi ducha, uczyni to nie w czasach nieokreślonych „szczęścia powszechnego,“ lecz teraz. Z jednej strony wartość przeżycia materyalnego nie jest jeszcze dokładnie przez tłum ocenianą, z drugiej ma ona jeszcze różne kompensaty idealne, które jej dogadzają. Z takiej właśnie epoki przejściowej należy skorzystać, żeby zachować dla dobra samego tłumu istniejący jeszcze kapitał eugenistów. Wprawdzie cel ten poniekąd dopięty zostaje automatycznem działaniem piękna i sztuki, jako środków doboru płciowego *). Niestety, ono może jednak tylko opóźnić fatalny proces zwyrodnienia, który świadectwem faktów grozi geniuszowi. Kto o tem wątpi, niechaj sobie przypomni chociażby los trzech naszych największych poetów — wymowny dowód zaniku najszlachetniejszych i najzdolniejszych typów ludzkich. Wykazywaliśmy zaś niejednokrotnie, iż ze zdjęciem tej śmietanki rasowej z każdego narodu niema żadnej nadziei, żeby nowi zupełnie eugeniści w naszych czasach powstawać mogli **) — na to trzeba było pierwotnej, nieubłaganej walki o byt, tępiącej słabych, gdy obecne dobory społeczne starannie ich hodują.

Dla zapobieżenia złemu Lapouge, Ammon i inni liczni uczeni wystawiają plany antropotechniki, które tylko fałszują kwestyę i zwracają na tory błędne. Do czego ślepy fanatyzm naukowy może dojść, mamy najlepszy tego dowód na Lapouge'u. Zapewnia on nas, że jeżeli rozmnażać będziemy blondynów długogłowych, to wkrótce geniusze staną się tak liczni, iż ocierać się o nich będziemy na ulicy. Proszę zauważyć, iż wyższość blondynów jest domysłem, ostatecznie jeszcze niestwierdzonym. A więc żeby wytworzyć pewną ilość geniuszów, mamy się zająć hodowlą całej rasy, o wyższości nader wątpliwej. Sądzę, iż tak dziki pomysł mógł powstać tylko pod wpływem obawy tłumu, który raczej jeszcze zgodzić się może na wyższość rasy i konieczność jej rozmnażania, niż na wyższość oddzielnych jednostek. Bo oczywiście, jeżeli antropotechnika nie ma być fikcyą teoretyczną, lecz sprawą znajdującą się na gruncie realnym, to się sprowadza do systematycznego rozmnażania jednostek oddzielnych, których genialność oczywistą jest z ich dzieł. Nikt np. nie wątpi o genialności Pasteura, Edisona, Gounoda, Goethego, Heinego, Wagnera, Beethovena, Newtona, Napoleona, Cezara itd. Otóż zamiast rozmnażania tłumów jakichś długogłowych osłów, przypuszczając, iż między nimi znajdzie się może kilku geniuszów, należy rozmnażać ludzi, których genialność nie ulega żadnej wątpliwości, w nadziei, usprawiedliwionej przez cały świat organiczny, iż dzieci podobne będą do rodziców. Z obecną naszą znajomością praw dziedziczności, głównie dzięki epokowym pracom Weismana, kwestya ta znajduje się na drodze czysto naukowej. A czem głębiej przenikamy w ten rozwój, tem bardziej się przekonywamy, iż czynnikiem twórczym jest w nim rasa i geniusz — jest zupełną chimerą wierzyć, iż postęp odbywa się sam przez się dzięki warunkom otoczenia lub techniki. W rzeczywistości dzieje się wprost odwrotnie: otoczenie i technika mogą być tylko lepszymi lub gorszymi przewodnikami tych samych prądów społecznych, które są prądami energii biologicznej, ulegające ciągłej niezbędnej syntezie w mózgu geniuszów. I jak cały zegarek, chociażby najlepiej zbudowany, nie może iść w braku jednego sztyfcika, tak samo społeczeństwo nie może postępować w braku geniuszów. Kwestya społeczna jest dwustronna, zależy od losów tłumu i od losów arystokracyi duchowej.

*) Por. „Jeszcze o estetyce,“ *Prawda* z r. b.

**) Por. „Geniusz i rasa,“ *Prawda* z r. 1897.

Obie są jednakowo ważne, ale ta ostatnia daleko groźniejsza. Wołów roboczych, ani rosłych chłopów, ani też rzemieślników przemysłu, nauki i sztuki nigdy społeczeństwom nie zbraknie, tymczasem geniusz, siła twórcza znajduje się w agonii. Trudno rzec, czy wszelka interwencya nie będzie już opóźnioną, ale podjąć ją należy jak najenergiczniej. Powinna ona polegać na systematycznem rozmnażaniu geniuszów i otaczaniu ich dobrobytem i przywilejami odpowiedniemi ich zasługom społecznym. Wiemy bardzo dobrze, iż pierwsza zwłaszcza część tego programu napotka przeszkody nieprzezwyciężone, sądzimy jednak, iż jest łatwiejszą do wykonania, niż antropotechnika Lapouge'owska, polegająca na rozmnażaniu całej rasy długogłowych blondynów.

Dr. L. Winiarski.

TEATR.

I co teraz? — sztuka konkursowa *Kuryera Warszawskiego.*

Niejednemu z nas prawdopodobnie zdarzyło się w piękny wieczór letni oglądać zachód słońca i, widząc kolory tak krzykliwe, że żaden malarz nie odważyłby się użyć ich w pejzażu, zawołać mimowolnie: jakie to jaskrawe! Nawet nienaturalne!

Dowodzi to bardzo ciekawej rzeczy: tak daleko sztuczną kulturą zmysłów odbiegliśmy od natury, że nawet jej zjawisk nie mierzymy inaczej, jak porównywając je z własnemi mizernemi kopiami. Jeżeli więc taki mamy sprawdzian przy ocenie objawów przyrody martwej, mających swe usprawiedliwienie w samym fakcie istnienia swego, to można sobie wyobrazić, jak bezwiednie i niepostrzeżenie dla siebie samych przeinaczamy w sądach naszych naturę ludzką, wykrzywiając znaczenie zjawisk obserwowanych. Mówię to dlatego, że niektóre sceny sztuki „I co teraz?“ malowane są farbami tak jaskrawemi, że łatwo ściągnąć na siebie mogą zarzut nienaturalności — te sceny jednak są najlepszą stroną utworu. Jest tutaj młody kupiec, p. Henryk Łuszycki, jest młoda pani kupcowa, jest przyjaciółka jej, separatka, osoba o bardzo niewyraźnym charakterze, jest jeszcze kilka figur, kręcących się po scenie, Bóg wie po co — oraz p. Wiktor Kroniecki, osobnik o bardzo wyraźnym charakterze, będący ze wszystkimi w doskonałej zgodzie, a z panią kupcową w najlepszej. Oprócz tego pani kupcowa, czyli Ludka, posiada młodość, twarz „madonny,“ nudzi się okropnie i ma ideał. Mąż kocha ją nadzwyczajnie, ale nie może jej wiele czasu poświęcać, bo go pochłania sklep i także ideał. I byłoby wszystko w porządku, gdyby nie te dwa ideały. Ideałem męża jest pół miliona dorobku, ideałem żony — p. Wiktor. Resztę czuły słuchacz bardzo łatwo w duszy dośpiewa.

A teraz proszę mi powiedzieć: czy można mieć pretensyę do tureckiego baszy, władcy i pana piętnastu, przypuśćmy, żon ślubnych, ażeby je wszystkie w jednakowej mierze i w wystarczającej ilości obdarzał czułością swojego przywiązania? Czy można mieć za złe naszemu mieszczańskiemu małżonkowi, że nie potrafi być dostatecznie czułym dla jednej żony, skoro mu interesy innej natury czas zabierają? Raz: nie, i drugi raz: nie, ponieważ jeden i drugi przypadek obraca się na terytoryum przewidzianem i uświęconem przez odpowiednie prawo miejscowe. A teraz: czy nie współczujemy pięknej, smutnej i opuszczonej mieszkance haremu, kiedy, szukając pociechy w jakiemś postronnem uczuciu, przekupuje straż i wprowadza ukochanego? Tak samo powinniśmy współczuć i biednej kupcowej o twarzy „madonny“ i jej miłości dla p. Wiktora. Co się dzieje jednak z odaliską, złapaną na gorącym uczynku? Władca i pan czuje się śmiertelnie obrażonym w swej godności osobistej i mści się okrutnie na swojej zbuntowanej własności: własność taką zwykle zaszywa się w obszerny worek skórzany i wysyła na dno najbliższej rzeki. My wcale nie potrafimy cenić dobroczynnej kultury, która tak gładko wypolerowała zwyczaje nasze, ani naszych autorów dramatycznych, których niesłusznie oskarżamy za brutalność sytuacyi. Naprzykład w sztuce „I co teraz?“ w sytuacyi zupełnie analogicznej haremowej: mąż bardzo skwapliwie uwzględnia wszystkie okoliczności łagodzące (wiarołomstwo bowiem zaszło — ale nie w znaczeniu kanonicznem) i wspaniałomyślnie przebacza; żona, nie zgrzeszywszy kanonicznie, nie chce przyjąć przebaczenia mężowskiego, a autor wzrusza się bohaterami i sytuacyą daleko bardziej od publiczności i tragicznie tytułem sztuki stawia społeczny znak zapytania, na który łatwiejsza jest znacznie odpowiedź, niż przypuszczał.

Pochodzi to z tego, że autor, który w pierwszym akcie okazał się bardzo zręcznym fotografem niektórych *powierzchownych* stron życia pewnej sfery, dowiódł jednocześnie, że sam sobie dobrze nie zdaje sprawy z pochwyconych odbić i upatruje dramat tam, gdzie go wcale niema. Jesteśmy bardzo spokojni, że Ludka wróci do męża i nie bierzemy jej tragicznej pozy wcale do serca. Takie osoby podobne są do kawałka mięciutkiego wosku: można z niemi robić, co się tylko chce, a każdy, komu się tylko zechce operować, znajdzie grunt podatny. Pozostała zimną wobec safanduły męża, ale zapasy komedyanta Wiktora doprowadzają ją do stanu topnienia. Lichy to materyał, kiedy topnieje przy takim ogniu! Nie bójmy się jednak — ideał sromotnie uciekł — zostanie więc z niej taka sama bezduszna bryłka, jak i przedtem. Jeżeli autor jest mniej lub więcej zręcznym artystą, to może z takiego materyału ulepić zgrabną figureczkę, może chuchnąć na nią swojem współczuciem i w zmarszczki czoła włożyć wyraz bolesnej zadumy, głębokiego cierpienia itd., a potem samemu rozczulić się nad swojem dziełem i wmawiać w nas: patrzcie, jak ona biedna cierpi!

Tak się też stało w akcie trzecim jego sztuki, w którym prócz tego stara się usilnie przekonać nas, żebyśmy nie brali bardzo seryo tych ludzi, których oglądaliśmy w dwóch poprzednich. Szubrawiec Wiktor stara się usprawiedliwić przed separatką z tego, że wyjeżdża, separatka bardzo prędko zgadza się z nim, a potem oświadcza się wspólnikowi Henryka Łuszyckiego — oryginałowi i dziwakowi. Wiktor ucieka, szansonetka Wiola wyjeżdża za granicę, młody muzyk Doreau ucieka za nią, separatka, zakochana w nim, mdleje, przychodzi mąż Ludwiki, Ludka pyta: i co teraz? Kurtyna spada — i sprawozdanie moje kończy się.

Władysław Sterling.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. Prof. J. Dydyński: „Cesarz Hadryan,“ studyum historyczno-prawne (220 str.). E. Wende.

FILOZOFIA. A. Schopenhauer: „Miłość,“ tłom. A. W. (58 str.). Cohn.

— E. Abramowski: „Teorya jednostek psychicznych“ (137 str.). C. Wilanowski.

POWIEŚCI. W. S. Reymont: „Ziemia obiecana,“ dwa tomy (441 i 410 str.). Gebethner i Wolff.

— Ituriel: „Bratki,“ nowele (264 s.). Bukowiński.

POEZYE. W. Syrokomla: „Janko cmentarnik“ (35 str.). Bukowiecki.

— G. Zieliński: „Kirgiz“ (36 str.). Bukowiecki.

— A. Malczewski: „Marya“ (48 str.) Bukowiecki.

KALENDARZE. S. Strzelecki: „Kalendarz rolniczy“ w dwu częściach: notatnik i zbiorek artykułów, cena 1 rb.

— „Kalendarzyk memorandum“ i „Kalendarzyk terminowy“ Bukowieckiego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

HANDEL WOLNY CZY OCHRONNY?

Upływający termin traktatów handlowych z obcemi mocarstwami wywołał w Niemczech znowu żywe zajęcie się sprawami polityki celnej i wolnego handlu. Niedawno toczyły się w tym przedmiocie bardzo ciekawe rozprawy w Stutgardzie, w których główny udział przyjęli Max Schippel i Karol Kautsky i które niezawodnie wiele przyczyniły się do wyświetlenia kwestyi. Wynik tych obrad chcemy właśnie przedstawić czytelnikom *Prawdy*; obchodzą one nietylko Niemców, ale i świat cały i nas w szczególności, państwowa bowiem polityka celna od kilku dziesiątek lat odegrała w życiu naszem pierwszorzędną rolę, a do dziś dnia wywiera wpływ głęboki na dalszą przemianę naszych stosunków, przekształciwszy już kraj nasz z wyłącznie niemal rolniczego na przemysłowy. Ważną tedy i dla nas jest rzeczą wyrobić sobie jasny pogląd na punkty zasadnicze.

Dotąd jeszcze panuje ogólne mniemanie, że wolny handel jest nietylko pierwszym warunkiem międzynarodowego pokoju, ale już sam przez się stanowi pewnego rodzaju braterstwo narodów. Mniemanie to jest bardzo stare. Richard Cobden, sławny przedstawiciel teoryi wolnego handlu, pisał swego czasu: „Oczywiście dobrze byłoby zaszczepić agitacyę naszą na gruncie ruchu, dążącego do międzynarodowego pokoju. W rezultacie oba te ruchy stanowią jedno i to samo dążenie. Dziwiłem się często, że przyjaciele sprawy wolnego handlu nie przedstawiają jej jako drogi—i to jedynej — prowadzącej do powszechnego i wiecznego pokoju“. Najwyższe nadzieje humanitarne łączono z tryumfem wolnego handlu. I była epoka, kiedy zdawało się, że on zapanuje we wszystkich państwach. Gdy Anglia porzuciła swój system celny i weszła na tę drogę, ruch w tym kierunku objął cały ląd europejski. Napoleon III-ci zniżył cła do minimum, gdyż nie było nadziei, aby Izba deputowanych zgodziła się na zupełne ich zniesienie. Za nim poszły Prusy, które ułożyły nadzwyczaj niską taryfę i narzuciły ją innym państwom niemieckiego związku celnego. Ruch ten szerzył się coraz bardziej: wszędzie w Europie środkowej i zachodniej pozawierano traktaty. Do wolnego handlu wprawdzie nie przyszło, ale stopniowo zmniejszały się stawki taryf celnych.

W 1873 r. nastąpił znany przełom przemysłowo-handlowy. Wtedy wysokie taryfy celne istniały jeszcze w Rossyi, Północnej Ameryce i w koloniach angielskich. Potem zaczęło się znów dążenie do ceł ochronnych. Niemcy, Austrya, Włochy, Francya, Szwajcarya—słowem państwa o najrozmaitszych formach rządu jęły się polityki protekcyjnej. Rzuca to pewne światło na drugi bardzo rozpowszechniony pogląd: mówi się zwykle, że za protekcyonizm walczył obóz reakcyjny i zwyciężył. Ochrona celna nosiła zawsze w umysłach charakter reakcyjny, wolny handel zdawał się zawsze być wyrazem liberalizmu, postępu. Znany jest sąd autora „Kapitału“: „System ceł ochronnych jest konserwatywny, system wolnego handlu przyspiesza przemianę społeczną; w tym duchu głosujemy za wolnym handlem“. Co jednak mówi na to historya? W Stanach Zjednoczonych za wolny handel walczyli... właściciele plantacyj bawełnianych, obrońcy niewolnictwa! Chcieli oni zbywać tanio do Anglii swą bawełnę i wzamian zato otrzymywać tanio wyroby przemysłowe. Kto tam walczył za cła ochronne? Byli wolni obywatele Anglii, którzy chcieli przemienić Amerykę na państwo przemysłowe, jakiem musi dziś być każde, jeżeli ma się dalej rozwijać. Do zwolenników systemu celnego należały tam żywioły postępowe, marzące o wielko-przemysłowej Nowej Anglii. System celny był przeto pierwiastkiem rozwojowym w łonie starego społeczeństwa. Posłuchajmy, co o tem pisał Fryderyk List, znany obrońca ceł w Niemczech: „Jeżeli wolno Stany nie chcą lub nie mogą ani fabrykować, ani stworzyć wielkiej potęgi morskiej, tedy Bostończycy napróżno rzucili herbatę do morza... i lepiej uczynią, jeżeli możliwie prędko powrócą do dawnej kolonialnej zależności od Anglii. Amerykańscy właściciele niewolników i plantatorzy bawełny ujrzą wtedy najpiękniejsze swe marzenia urzeczywistnionemi... Od jakich 25 lat wzbudza w nich trwogę powodzenie przemysłowe środkowych i wschodnich Stanów i dowodzą na kongresie, że pomyślność Ameryki zależy od przemysłowego panowania Anglii nad Ameryką Półn. Cóż innego może to znaczyć, jeżeli nie to, że Pól. Ameryka byłaby szczęśliwszą i bogatszą, gdyby napowrót wróciła do stosunku kolonii względem Anglii... Potrzeba byłoby tylko nie dopuścić do rozwoju silnej manufaktury w Stanach atlantyckich, potrzeba tylko, aby zapanowała w Ameryce zasada bezwzględnej swobody handlu zagranicznego, wtedy Stany, nie posiadając manufaktur, nie mogłyby się utrzymać na poziomie tegoczesnej swej kultury, musiałyby upaść, pod każdym względem upaść“. Ten stosunek konserwatywnych wolnohandlowców i postępowych zwolenników systemu celnego trwał aż do wojny domowej, a nawet farmerzy wywozowy tworzą tam dziś jeszcze główny zastęp wolnohandlowców, a bynajmniej nie reprezentują postępu.

Jak było przedtem w Niemczech? Najgłówniejszymi bojownikami wolnego handlu byli właściciele wielkich posiadłości ziemskich, junkrzy nadelbiańscy, reakcyjni feudałowie, prowadzący hodowlę owiec, którzy chcieli zbywać w Anglii wełnę, zboże i drzewo. Kto tam walczył za system celny? Burżuazja, występująca przeciw feudalizmowi, fabrykanci tkanin bawełnianych w Prusach, Saksonii, Würtembergu, Badenie i Bawaryi, przemysł żelazny nadreński i południowo zachodni. Bezwątpienia, cła ochronne, chociaż zawsze umiarkowano, nadały rozwojowi Niemiec szybsze tempo, one to stanowiły pierwiastek postępowy, a nie wolny handel, za którym stali junkrzy! Oto jak wyraziła się chęć Fr. Lista do przemienienia drobnomieszczańskich i chłopskich Niemiec na państwo przemysłowe: „Naród zajmujący się wyłącznie rolnictwem, podobny jest do indywiduum, któremu w wytwórczości materyalnej brak jednej ręki. Przy wielkiej produkcyi rolnej istnieje samowola i poddaństwo, przesądy i ciemnota, brak kultury, środków komunikacyi i przewozu, nędza i niemoc polityczna. W państwie wyłącznie rolniczem tylko bardzo mała część duchowych i fizycznych sił narodu budzi się i doskonali, tylko siły i bogactwa naturalne mogą w niem być wyzyskane, żadne lub tylko nieznaczne kapitały mogą tam być nagromadzone. Porównajmy Polskę z Anglją. Oba narody stały niegdyś na jednakowym stopniu rozwoju, a teraz— co za różnica! Manufaktury i fabryki są matkami i dziećmi obywatelskiej swobody, oświaty, sztuk pięknych i nauk, wewnętrznego i zewnętrznego handlu, udoskonaleń żeglugi morskiej i transportu, cywilizacyi i potęgi politycznej... Niemiecki jednak system ceł ochronnych w sposób jeszcze niedostateczny spełnia swe zadanie, dopóki Niemcy nie produkują sami wszystkich potrzebnych im tkanin, dopóki nie otrzymują bezpośrednio z gorących stref towarów kolonjalnych i dopóki nie płacą za nie swymi własnymi wyrobami, dopóki handlu tego nie prowadzą na własnych okrętach, dopóki niezdolne są udzielić swej fladze potężnej opieki, dopóki nie posiadają zupełnego systemu nawozu kolejowego i kanałowego, dopóki niemiecki związek celny nie obejmuje wszystkich niemieckich krajów nadmorskich oraz Holandyi i Belgii“. Tak mówił przeciwnik reakcyi i tym duchem odznaczali się zwolennicy systemu ceł ochronnych aż do ósmego dziesiątka lat. Wszędzie, nietylko w Niemczech, przemysł rozwijał się pod ochroną systemu celnego. Nieinaczej działo się z przemysłem angielskim. Gdziekolwiek dziś spojrzymy, czy na Austryę, czy na młode państwa bałkańskie, na Węgry, Włochy, Hiszpanyę, Rosyę—wszystkie te państwa otoczyły się murem ceł ochronnych, aby rozwinąć u siebie przemysł. I na jakiemkolwiek staniemy stanowisku, przyznać musimy, że wszędzie cła ochronne działały w duchu postępowym, powołując do życia przemysł i wytwarzając przez to nowe i wyższe ustosunkowanie sił społecznych. (D. n.)

A. W.

W DALI.

Kielce. Prezydent miejscowy na ostatniem posiedzeniu obywateli miasta i przemysłowców odczytał sprawozdanie z przebiegu projektu założenia w Kielcach „szkoły realnej z kierunkiem górniczym.“ Ma ona składać się z klasy przygotowawczej, sześciu normalnych i siódmej specyalnej, w której prócz nauk programowych wykładane będą: mineralogia, metalurgia i geodezya. Etat szkoły dosięgnie 300,000. Miasto wyznacza stałą zapomogę 9,000 rb., a ponieważ niewątpliwie i zakłady przemysłowe poczują się do obowiązku udzielania zasiłku, więc szkoła tym sposobem bardzo mało obciąży budżet ministeryum. — Gubernator kielecki polecił kasie miejskiej użyć z oszczędności r. b. 300 rubli, na studya, celem sprowadzenia z okolicy Kielc wody dla zasilenia przepływającej przez miasto rzeczki Silnicy.

Petersburg. Korespondent *Now. Wr.* z Lublina poruszył ważną sprawę z powodu zapowiedzianego utworzenia od Nowego Roku posady szkół ludowych w gub. Warszawskiej. „Dotąd— jak zaznacza korespondent — nauka początkowa pozostawała bez dozoru. Tymczasem w każdej prowincyi kresowej urządzenie szkolnictwa początkowego posiada doniosłość państwową, zwłaszcza zaś tutaj, wobec różnorodności składu narodowościowego i wyznaniowego ludności. Są szkoły wiejskie, gminne, miejskie prywatne i wioskowe prywatne, kantoraty ewangelickie i chedery żydowskie, w których nauka odbywa się bez kontroli, nie można bowiem poczytywać za kontrolę poważną dozoru, wykonywanego przez jedną osobę — naczelnika dyrekcyi naukowej, który nie ma fizycznej możności w ciągu 5—6 miesięcy okresu szkolnego zwiedzić nawet jednej piątej szkół (liczba ich np. w gubernii Lubelskiej wynosi 565), że nie wspomnę już o nauczaniu domowem i nauczycielach domowych. Utworzenie inspektorów szkół początkowych będzie dobroczynnem pod każdym względem. Stanowisko nauczyciela ludowego będzie wywyższone: pozyska on obrońcę, pośrednika. Dziś nauczyciel ludowy lęka się księdza, pana, służby pańskiej, pisarza gminnego i strażnika ziemskiego, do stóp się ściele naczelnikowi powiatu. W oczach ludności nie ma on nietylko należnej, ale żadnej powagi. Nauczyciel jest ubogim, częstokroć nędzarzem, nikt zaś obecnie nie troszczy się systematycznie o poprawę jego by-

tu, który nikogo nie razi. Stanowisko języka państwowego również szwankuje skutkiem braku dozoru inspekcyjnego. Mnóstwo kolonistów niemieckich uczy się — Bóg raczy wiedzieć — jak i czego, w swoich kantorach. Jeszcze gorzej z nauką początkową Żydów. Niezliczone mnóstwo melamedów zajmuje się nauczaniem domowem, prowadzonem na podstawie talmudu, który nie powinien być żadną miarą uważany za podręcznik szkolny i może być tolerowany chyba jako książka do czytania dla ludzi dojrzałych. Państwo musi na to w końcu zwrócić uwagę. Książka o treści antipaństwowej, wykładająca nienawiść względem chrześcian—jest dozwolona w państwie chrześciańskiem, jako podręcznik szkolny! Obecnie za kuratorów miejskich szkół ludowych są uważani komisarze do spraw włościańskich. Ci jednak, niestety, nie mają obowiązku składania jakichbądź sprawozdań ministeryum oświaty, opieka ich — to czcze słowo tylko. Niewątpliwie, gdy będą ustanowieni inspektorowie szkół ludowych, sprawa wystąpi w innem oświetleniu: powstanie żywa wymiana zdań pomiędzy przybyłą z miasta gubernialnego osobistością, w dodatku wyłącznie wyznaczoną do kontroli nad szkołami, a osobami dobrze świadomemi stosunków miejscowych, pozostającemi w bliższem zetknięciu z ludem, wyjaśni się cel wspólny, zadania na porządku dziennym będące, kuratorzy miejscowi zyskają nić przewodnią." Autor w końcu wyraża życzenie, ażeby ministeryum było hardziej hojnem i nie zatrzymało się w połowie drogi. Półśrodki zawsze są szkodliwe; co znaczy jeden inspektor na gubernię? Potrzeba ich conajmniej 3—4. „Inspektor powinien posiadać odpowiednie stanowisko zarówno wobec administracyi, jak wobec kuratorów miejscowych i wobec społeczeństwa miejscowego. Stanie się on pożytecznym państwu i ludowi tylko wówczas, jeżeli czuć się będzie na stanowisku pewnem i trwałem."

KRONIKA.

Na Politechnikę. Przewodniczący w komitecie budowy warszawskiego Instytutu politechnicznego, książę A. Oboleński, w obszernej mowie wykazał potrzebę i obowiązek towarzystw i domów przemysłowo-handlowych złożenia reszty sumy (około miliona rubli), potrzebnej na zbudowanie i urządzenie tego zakładu. „Jeżeli w roku zeszłym — rzekł książę między innymi argumentami — przy podpisywaniu i zbieraniu ofiar dobrowolnych, które utworzyły milion, wielu z was, współczując oczywiście myśli, kierującej inicyatorami tej sprawy, wahało się, a nawet powstrzymywało od czynienia znacznych ofiar, w nieświadomości, na jaki cel zbierana jest owa suma, teraz już niema miejsca na tego rodzaju wątpliwości i wahania. Obecnie cel nietylko jest ściśle określony, lecz już nawet doścignięty. Instytut politechniczny w Warszawie istnieje, rząd na jego utrzymanie asygnował 261,800 rb., sumę przewyższającą tę, która jest wyznaczona na utrzymanie petersburskiego Instytutu technologicznego, a w każdym razie wystarczającą zupełnie do postawienia na szeroką skalę sprawy wyższego wykształcenia technicznego."

Wiadomości społeczne. Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie postanowiło stworzyć kasę pogrzebową dla członków i ich rodzin.

Ostrzeżenie. Władze pruskie zawiadomiły prokuratora warszawskiego sądu okręgowego, że jacyś Lipszyc, Kohn i in. wydrukowali w Berlinie bilety nieprawnej loteryi, nazwanej gdańską i działdowską, a podpisane przez „kolektorów": A. Blanka, Pawłowskiego i Jabłonowskiego. Ponieważ w Niemczech sprzedaży tych biletów zabroniono, więc aferzyści sporą ich ilość wysłali do Królestwa Polskiego.

Szkoły. Postanowiono przekształcić Instytut elektrotechniczny w Petersburgu. Dotychczas zaspakajał on przeważnie potrzeby wydziału poczt i telegrafów.

— *Birż. Wied.* donoszą, że w ministeryum oświaty poruszono sprawę zreformowania szkół realnych. W tym celu rozesłano uprzednie okólniki do kuratorów okręgów naukowych, w których pomiędzy innemi polecono zbadać najdokładniej, jakie zmiany byłyby najpotrzebniejsze. W okólnikach ministeryum oświadczono, iż wykłady chemii mają być w znacznie szerszym zakresie, a na południu Rosyi wprowadzony będzie język angielski jako obowiązkowy przedmiot wykładów.

Sądy. Izba sądowa warszawska ogłosiła wyrok w sprawie Brzeszczakowej, skazanej przez sąd okręgowy na ciężkie roboty za zamordowanie niemowlęcia, oddanego jej „na garnuszek." Izba wyrok uchyliła i skazała tę kobietę na trzy miesiące aresztu policyjnego tylko za pochowanie zwłok dziecka z pogwałceniem przepisów obowiązujących. Wyrok oparto na podstawie świadectwa byłej służącej Koneckiej, która zeznała, że widziała, jak dziecko zmarło na rękach Brzeszczakowej.

— D. 30 listopada na posiedzeniu sądu wojskowego okręgu warszawskiego rozpoznawano sprawę porucznika 2-go pułku piechoty twierdzy warszawskiej, Nosacz Noskowa, obwinionego o rozmyślne zabójstwo mieszkańca Warszawy, Bolesława Daszkiewicza. Sąd uznał porucznika winnym zarzucanej mu zbrodni i na mocy cz. I art. 1,455 kod. kar., po pozbawieniu go godności wojskowej, rang, medalu na pamiątkę panowania Cesarza Aleksandra III-go, szlachectwa i wszystkich praw stanu, skazał do ciężkich robót na lat 12. Wyrok ten, po uprawomocnieniu się, przed wprowadzeniem w wykonanie, postanowiono, na mocy art. 1,097 ust. wojsk. sąd., złożyć za pośrednictwem ministra wojny do Najwyższego uznania. (*Warsz. Dn.*).

Konkursy. D. 5 b. m. rozstrzygnięto konkurs dramatyczny *Kuryera Warszawskiego*. „Z uwagi iż żadna z pięciu sztuk — mówi wyrok — do wystawienia na scenie zaleconych, nie jest utworem skończonym w kształtach artystycznych i wolnym od zastrzeżeń, bądź z estetycznego, bądź z etycznego punktu widzenia," nagrody pierwszej w sumie 1,000 rb. nie przyznano nikomu. Natomiast drugą, 500 rb. otrzymał Andrzej Niemojewski za dramat p. t. „Familia." Prócz tego odznaczono cztery sztuki: „Frazesowicz" (autor nieznany, gdyż wycofał sztukę wraz z kopertą), „W sieci" p. Jana Kisielewskiego, słuchacza filozofii z Krakowa, „I co teraz?" p. Edwarda Grabowieckiego, artysty dramatycznego z Warszawy i „Wątpliwe szczęście" p. Władysława Palińskiego, artysty dram. z Warszawy.

— Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie rozstrzygnął konkurs rzeźbiarski, ogłoszony: 1) na dwie grupy, mające ozdobić nisze po obu stronach wejścia w kolumnadzie frontowej przyszłego gmachu Tow. szt. pięk., z nagrodą 300 rubli; 2) na tympanon, czyli wielką rzeźbę ścienną, trójkątną, we frontonie gmachu (nagr. 300 rb.) i 3) na płaskorzeźbowe ozdoby okien (nagr. 100 rb.). W pierwszym oddziale nagrodę przyznano p. Zygmuntowi Otto ze Lwowa. Nadto ze względu na wysokie zalety dwu grup innych (pod jednem godłem) sąd konkursowy utworzył nadetatowo nagrodę równą pierwszej. Autorem tych dwu prac, nadetatowo nagrodzonych, jest p. Leopold Wasilkowski z Warszawy. Za tympanon nagrodę rb. 300 otrzymał p. Antoni Popiel ze Lwowa. W konkursie trzecim (płaskorzeźby) nie nagrodzono żadnej pracy.

Koleje i komunikacye. Władza zatwierdziła projekt połączenia telefonem Piotrkowa z Łodzią i Tomaszowem.

Przemysł i handel. Pisma donoszą, iż oddział płocki Banku państwa otrzymał w tych dniach zatwierdzoną przez p. ministra skarbu ustawę Towarzystwa kredytowego m. Rypina. Instytucya ta rozpocznie czynności z chwilą podniesienia z Banku kapitału zakładowego.

Katastrofa kolejowa. Pociąg błyskawiczny (Süd-Express), kursujący raz na tydzień między Petersburgiem a Nizzą, d. 5 b. m. w drodze z Warszawy do Wiednia, dojeżdżając do stacyi Ruda, wpadł na tylne wagony pociągu roboczego. Z ludzi nikt nie ucierpiał. Kolej poniosła straty kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Odpowiedzi Redakcyi.

C. D. W wierszu Pańskim niema ani oryginalnej myśli, ani artystycznego obrazowania. Zwyczajne spostrzeżenie w zwyczajnej formie wyrażone.

Jednemu z prenumeratorów. Nie korzystamy z doniesień bezimiennych. Redakcya musi znać zawsze ich źródło. Nadesłane przez Pana, jeśli prawdziwe, są bardzo słuszne i ujawnione być powinny.

OFIARY.

Na wpisy dla studentów: z Besarabii rb. 50.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Ноября 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa. Mazowiecka, Nr. 8.